№ 17. Warszawa, dnia 15 (27) Lutego 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

LEOPOLD NOWOTNY

ARTYSTA MALARZ,

Wzmianka pośmiertna spisana przez Władysława Gepnera podług opowiadań artysty rzeźbiarza Ludwika Kucharzewskiego.

Do liczby rodaków pracujących gorliwie dla sztuki, znających ją gruntownie, ale nie chciwych rozgłosu, a przeto zapomnianych prawie zupełnie w swoim kraju, należał zmarły w miesiącu Październiku 1870 roku w Rzymie artysta malarz Leopold Nowotny. O ile zasięgnąć można pamięcią, istniejąca w Warszawie około r. 1858 wystawa obrazów Żmijowskiego, posiadała piękny obraz Nowotnego przedstawiający Świętą Annę uczącą czytać N. Pannę. Kościół willanowski i kaplica w Królikarni posiadają prace Nowotnego; na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych, w początkowych latach istnienia Towarzystwa, znajdował się czas jakiś obraz tego artysty, przedstawiający Najświętszą Pannę Niepokalanego Poczęcia. W ogóle o Nowotnym mało pisano, prac bowiem swoich na wystawach wiele nie okazywał, osoby nawet miłujące sztukę mało je znają.

Chociaż więc wiadomości, które dziś podaję nie są zupełnie dokładne, uważam jednak za właściwe ogłosić je drukiem, żeby interesujący się sztuką i posiadający gruntowniejsze szczegóły życia artysty, mogli dopełnić niniejszy pobieżny pogląd na życie i prace ś. p. Leopolda.

Nowotny urodził się około 1820 roku z ojca muzyka, przybyłego z Pragi czeskiéj na Podole do jednego z zamożnych domów, gdzie był i nauczycielem muzyki i podobno kierował dworską kapellą. Staruszek przeżył syna, dotąd bowiem jako nauczyciel muzyki żyje w Odessie.

Leopold Nowotny nauki szkolne pobierał w Krzemieńcu a malarstwa uczył się w Wiedniu, gdzie zapoznawszy się ze sławnym malarzem religijnym Fürichem, został ulubionym jego ucznięm i przyjacielem; tą przyjaźnią w późniejszém życiu zawsze się szczycił, i czas nauki pod kierunkiem wspomnianego nauczyciela mile wspominał. Po kilkoletnich naukach w Wiedniu udał się Nowotny do Wenecyi, gdzie znalazł korzystne zajęcie w przerysowywaniu mozaik i najdawniejszych malowideł zdobiących kościół Ś. Marka. Rysunki te wykonywał dla jakiegoś niemieckiego nakładcy, do zamierzonego poważnego wydawnictwa o sztuce.



Leopold Nowotny.

Artysta ten przepędził lat ośm w Wenecyi, przeważnie prawie dla wykonania kopij z nagromadzonych tam zabytków sztuki; nic więc dziwnego, że studyując mozaiki od ich prawie zrodzenia się na ziemi włoskiéj podczas rozpoczęcia budowy kościoła Ś. Marka około XI-go wieku, do dojścia ich do ostatniego punktu wydoskonalenia w XVII wieku, we wszystkich dziełach swoich zachował wielką powagę kompozycyi, a nawet może i trochę sztywności rysunku, cechującej bizantyńskie i Romańskie obrazy, obok głęboko zrozumianego uczucia religijnego. W czasie przebywania w Wenecyi narysował Nowotny życie N. Panny w szeregu pomysłów, ale że téj pracy nie wydał na widok publiczny, pomimo że ją uważał za najważniejsze dzieło swoje, przy wrodzonéj dobroci charakteru, niezdolności odmawiania czyjejś prośbie, rozdał całą między kolegów i rodaków pracownię jego odwiedzających, nie zachowawszy sobie reprodukcyi. Ci, co oglądali niektóre z kompozycyj oddawali wielkie téj pracy pochwały. Pomysł, który tu w rycinie następującéj dokładnie rysunek ręczny Nowotnego zamieszczamy, należy do tego właśnie szeregu pomysłów, i służy jako rysunkowe objaśnienie do pochodzenia N. Matki Zbawiciela z rodu Dawidowego.

Z Wenecyi przeniósł się Nowotny do Rzymu. Czuł doskonale, że po odbytéj nauce szkolnéj malarstwa w Wiedniu, po dopełnieniu duchowéj strony tejże nauki na studyach swoich w Wenecyi, może rozpocząć dojrzałą pracę artystyczną, a Rzym uważał za najwłaściwsze do tego miejsce, osiadł więc pełen energii i siły pośród powabów dla

miłośnika sztuki tak obficie zebranych w murach starej Romy, i tam też dokonał życia po dwudziestoletniéj blizko gorliwéj pracy.

Dzieła Owerbecka najbardziej przypadły do usposobienia Nowotnego; poznał się też i zbliżył ściślejszym węzłem znajomości z tym mistrzem spółczesnego malarstwa religijnego, a przez niego wkrótce polubiony, wszedł w najwyższe towarzystwo duchowne i świeckie rzymskie. Z koła tego pojął w małżeństwo synowicę kardynała Brunellego noszącą tożsamo nazwisko (*), otworzył pracownię przy Piazza delle Trecanelle, i malował ciągle, produkując mnóztwo obrazów religijnéj treści. W Rzymie samym, podający to wspomnienie życia Nowotnego, a który kilkoletnią był z nieboszczykiem złączony znajomością, pamięta jeden tylko obraz znacznych rozmiarów w kościele pp. Bazyliancek, przedstawiający Matkę Zbawiciela z kilku świętymi. Znaczna liczba obrazów Nowotnego przeważnie malującego Madonny, rozchodziła się w tym czasie po Włoszech, Niemczech i kraju naszym: Wielkie Księstwo Poznańskie posiada ich część najznaczniejszą.

Z obrazów wykonanych przez Nowotnego w Rzymie, wyróżnia się wybitnemi zaletami Chrystus Pan okazujący się po Zmartwychwstaniu Matce swojéj; bardzo piękne też jest malowidło przedstawiające Kommunię Ś. Stanisława Kostki.

Malował także Nowotny niemało obrazów na tle złotem w bizantyńskim stylu, a w zwrocie tym ku archaizmowi w malarstwie widać właśnie wpływ mozaik weneckich. Jedna ze znaczniejszych prac jego w tym rodzaju znajduje się w Londynie, wykonana na zamówienie; stanowi ona tryptyk, którego środkowy obraz przedstawia N. Pannę Niepokalanego Poczęcia, boczne innych Świętych. Niektóre swoje utwory ś. p. Leopold sztychował; znanemi są Ś. Andrzéj Bobola i Apostołowie. Na parę lat przed śmiercią, czy to w skutek utraty stosunków, a przynajmniéj znacznego zmniejszenia ich przez śmierć Kardynała Brunelli, czy też przez niemożność wytrzymania współzawodnictwa z świetniejszemi w kolorze malowaniami artystów nowszéj szkoły, Nowotny zniechęcił się do tworzenia nowych obrazów. Zawsze nieco surowy w kolorze zbliżonym do dawnych malowideł, tracił powoli zwolenników, a podobno znalazł dużo niechętnych sobie; zwinął więc pracownię i w małém mieszkaniu, zamiłowany zawsze w pięknie, zajął się skrzętném a nawet namiętném zbieraniem dawnych obrazów, medali, monet i t. p. starożytności. Że umiał zbierać i posiadał cenne rzeczy, za dowód może posłużyć, iż jeden obraz zakupiony od niego został do galeryi Luwru. Zamiarem i marzeniem Nowotnego było, kiedyś zbiory swoje przewieźć do kraju; śmierć jednak ubiegła jakiekolwiek w téj mierze rozporządzenia.

W tych ostatnich chwilach życia zajmował się restaurowaniem obrazów. Jako człowiek, był ś. p. Nowotny jak najlepszych skłonności; prawy, charakteru łagodnego, uprzedzająco grzeczny, uczynny, koleżeński, nie umiał odmówić nikomu pomocy swojéj, niejednokrotnie płacił długi kolegów. Wiadome są i prace piśmiennicze Nowotnego. Jedna „O sztuce średniowiecznej" zbyta była przez niego do Niemiec, gdzie może już została wydaną, druga „o malarstwie pod względem chemicznym" ta pozostała w rękopiśmie, wielu jednakże znajomych mu artystów korzystało ze wskazanych tam przepisów i ci okazywali mu za to wiele wdzięczności, co dowodzi, iż rzecz musiała być gruntownie obrobiona. Podobno napisał to dziełko na mocy doświadczenia swego i znalezionych notat po mistrzu kolorytu Tycyanie, robił też preparaty farb, podług tych przepisów, które w użyciu mają być doskonałe, a godne, aby wraz z całą tą sumienną pracą długoletniego doświadczenia zmarłego artysty, doczekały się wydania na widok publiczny.

(*) Z małżeństwa tego miał trzy córki, z których w r. 1870 żyła tylko jedna.

NIEWIASTY W XIV WIEKU.

Ustęp z dziejów obyczajów średniowiecznych.

przez **Wł. Chomętowskiego.**

I.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 16).

Król Robert uczynił w testamencie Joannę dziedziczką neapolitańskiego tronu. Wychowanie jéj było staranne, ale niewolne od romansowych wpływów i wrażeń, w których wykołysano wyobraźnię dziewczęcia. Owoż po śmierci Roberta, na dworze neapolitańskim rozwarły się obszerne szranki dla intrygi współzawodniczących stronnictw. Węgrzy sterujący wychowaniem Andrzeja, pracowali nad zapewnieniem i ugruntowaniem swego wpływu w rządach królestwa. Ale z drugiéj strony nie zasypiali swéj sprawy krajowcy i rozciągnęli sieć intryg na dworze młodéj królowéj. Dopomogła tym ostatnim najdzielniéj zręczna, niepospolitego dowcipu niewiasta imieniem Filipa. Córka biednego rybaka z miasta Catano, była najprzód mamką królewskiego syna, zmarłego w dziecięcych latach, następnie została ochmistrzynią królewny Joanny. Przebiegła niewiasta, po śmierci króla Roberta, zapanowała wkrótce nad całym dworem królewny, dogadzając skłonnościom dziewicy, zamiłowanéj w przepychu, strojach i zabawach. Zdaje się, że jeszcze za życia, lub wkrótce po skonie króla Roberta, połączono nierozerwalnym węzłem młodą królewską parę. Pozostawał zatém do dopełnienia akt koronacyi, ale urzeczywistnienie jego przedstawiało wiele trudności, zważywszy, że wypadało uzyskać potwierdzenie papieża Klemensa VI-go, jako rozciągającego zwierzchnią władzę nad królestwem Neapolitańskiém, powtóre należało usunąć zatargi w łonie współzawodniczących stronnictw. Doniesiono o tém matce Andrzeja, Elżbiecie królowéj węgierskiéj. Owoż córka Władysława Łokietka, babka naszéj Jadwigi, podjęła trud tego dzieła. Przybywszy do neapolitańskiego królestwa, powitana przez Andrzeja i Joannę, doprowadziła wkrótce do skutku zamierzone dzieło pojednania. Neapolitańczycy zniewoleni jéj hojnością i bogatemi upominkami, zgadzali się na dopełnienie w jak najprędszym czasie obrzędu koronacyi. Elżbieta zaspokojona z téj strony, wyprawiła poselstwo do Awinionu, zatém udała się w podróż do Rzymu, w celu odwiedzenia bazyliki Ś-go Piotra.

Poprzedzona sławą hojności, szczodrą ręką rozdawała jałmużny spotykającym ją po drodze biednym. Skoro zbliżyła się do Rzymu, najznakomitsi panowie wyjechali z żonami na jéj spotkanie. Lud rzymski radosnemi witał ją okrzykami. Kardynałowie spotkali ją przed bazyliką Ś-go Piotra. Tu przed ołtarzem Zbawiciela złożyła bogate wota, ornaty wyszywane perłami, złote i srebrne naczynia wysadzane drogiemi kamieniami. Zwiedzała następnie inne kościoły i klasztory, i wszędzie hojne składała ofiary.

Niedługo Elżbieta gościła w Rzymie i pośpieszyła do Neapolu, niespokojna o los syna. Poznała teraz bliżéj Joannę, ale nie wzbudził w niéj zaufania charakter synowéj, namiętnéj, płochéj i wyniosłéj. Jedynie więc tylko w przyszłości pokładała nadzieję królowa Elżbieta; dołożyła zatém wszelkich usiłowań w celu przyśpieszenia koronacyjnego aktu, który miał podnieść znaczenie i umocnić wpływ jéj syna. Odjechała więc królowa matka do Węgier z myślą urzeczywistnienia rzeczonego zamiaru. Nie będziemy tu opisywali całego ciągu dyplomatycznych zabiegów Elżbiety; powiemy tylko, że uzyskała w końcu zezwolenie stolicy apostolskiéj na koronacyę Andrzeja i Joanny. Ale w czasie tym zawiść nieprzejednanych stronnictw siecią szalonych intryg otoczyła młodą parę. Wspomniana wyżéj Filipa, dawna ochmistrzyni Joanny, działała w porozumieniu z książętami krwi królewskiéj, z Karolem Durazzą i z księciem Tarantu. Jedną myślą tego stronnictwa było usunięcie od rządów Andrzeja i sterujących w jego imieniu osób. Tymczasem zbliżał się dzień wyznaczony na koronacyę. Andrzéj miał odezwać się niebacznie, że nadchodzi godzina zemsty i ukarania jego wrogów. Słowa te stały się prawdopodobnie hasłem jego zguby. Joanna była wtedy brzemienną.

W dniu 18 września 1345 roku, król z królową wyjechali w licznym orszaku dworzan do Averso. Ochocze grono podróżników zabawiało się łowami, zatém według ówczesnego zwyczaju rozgospodarowali się goście w klasztorze Ś-go Piotra de Morono, gdzie przygotowano ucztę i wygodny nocleg. W orszaku tym była stara mamka Andrzeja, która zapewne z polecenia matki królowéj Elżbiety nie odstępowała swego wychowańca. Po uczcie rozeszli się goście do wyznaczonych im komnat. Wkrótce cisza zaległa w murach klasztoru. Andrzej zabierał się do spoczynku, kiedy mu oznajmiono, że przybył goniec z Neapolu z nader ważnemi depeszami. Rozebrany już w połowie zarzucił płaszcz na ramiona i wybiegł z komnaty. Ale zaledwie uczynił krok pierwszy za progiem, rzucili się na niego mordercy. Jeden zacisnął mu usta rękawicą, drugi zaś przeciągnął postronek około szyi i zadusił go przy pomocy innych siepaczy, którzy pochwycili następnie martwe zwłoki i wyrzucili przez okno do ogrodu.

Nazajutrz na wieść o morderstwie, lud Averso cisnął się tłumnie do klasztoru i żądał wydania złoczyńców. Zamordowano dwóch służących posądzonych niewinnie o udział w zbrodni.

Królowa podążyła śpiesznie z powrotem do Neapolu. Głos powszechny obwiniał Karola Durazzą męża królewny Maryi, i księcia Tarantę podejrzanego o stosunki miłosne z Joanną; niebawem wskazano samą królową jako wspólniczkę zbrodni.

Skoro wieść o śmierci syna doszła uszu królowéj Elżbiety, domagała się pospołu z bratem Andrzeja królem Ludwikiem, wytoczenia sprawy i surowego ukarania winnych.

Żądanie to poparte groźbą, skłoniło dwór neapolitański do pozornego wytoczenia śledztwa, albowiem cały tok sprawy osłoniono najgłębszą mgłą tajemnicy. W celu atoli przejednania opinii nie szczędzono osób, bez względu na ich stopień i zasługę. Owoż między innemi stracono nawet faworytkę Joanny, dawną jéj ochmistrzynię Filipę.

Nie zadowoliła wszakże wymierzona w ten sposób sprawiedliwość, ani opinii publicznéj, ani wymagań węgierskiego tronu. Wieść o zaślubieniu Joanny przez jéj krewnego i kochanka, księcia Tarantu, przyśpieszyła godzinę zemsty.

Król Ludwik wkroczył do neapolitańskiego królestwa, poprzedzony czarną chorągwią, z wizerunkiem zamordowanego Andrzeja. Joanna złożywszy rząd królestwa w ręce panów radnych, ratowała się ucieczką. W ślad za nią podążył mąż jéj książę Tarantu.

Nie chcąc przekraczać zbytnie zakresu niniejszego opowiadania, streścimy w krótkiéj osnowie dalsze dzieje Joanny.

Król Ludwik złożył sąd na książąt krwi królewskiéj, przekonanych o udział w zamachu. Wyrok śmierci zapadł na Karola Durazzę. W przytomności Ludwika, w mieście Averso, na miejscu popełnionéj zbrodni wykonano wyrok na Karolu.

Joanna pędziła długo życie tułacze. Schroniła się najprzód do Prowancyi, późniéj udała się do Francyi, ale tu doścignęła ją pomsta Ludwika. Więziona i następnie stawiona przed sądem stolicy apostolskiéj, broniła się wymownie sama, zatém zręcznemi wybiegami potrafiła niejednokrotnie odeprzeć czynione jéj zarzuty, aż w końcu uzyskała wyrok uniewinniający.

Uwolniona Joanna wróciła do Neapolu i objęła rządy królestwa. Równie burzliwy był dalszy ciąg jéj życia. Po śmierci księcia Tarantu pojęła trzeciego męża Jakóba aragońskiego, z którym rozwiodła się wkrótce i oddała rękę czwartemu Ottonowi księciu brunświckiemu. Dumna, chciwa panowania niewiasta, nie chciała z żadnym z nich rozdzielać władzy. Owoż i Ottonowi nie dozwalała koronować się na króla, w podrzędnéj postawiła go roli. Było to około 1376 r.; przybył w tym czasie z Węgier do Neapolu krewny Joanny Karol Durazzo. Starał się on o neapolitańską koronę dla swych następców po śmierci królowéj, gdy odebrał wezwanie króla Ludwika, aby powracał do Węgier.

Nieszczęściem dla Joanny, zasiadł na stolicy apostolskiéj jéj osobisty nieprzyjaciel Bartłomiej Prignano, arcybiskup Bari, pod imieniem Urbana VI. Tymczasem wybrano wkrótce anti-papieża Klemensa VII, za którym oświadczyła się Joanna. Rozgniewany Urban VI postanowił, jako zwierzchnik korony neapolitańskiéj, złożyć z tronu Joannę. Zawiadomiono o tém króla Ludwika i podano jako kandydata Karola Durazzę. Pochlebiało to widokom węgierskiego króla, który przekazując następstwo córkom, rad był z okoliczności usunięcia z Węgier swego krewnego. Uradowany również Karol chętnie podpisał akt zrzeczenia się pretensyj do następstwa tronu na korzyść córek króla Ludwika. Papież wydał bullę 21 kwietnia 1380 roku odsądzającą Joannę od tronu i rozwiązującą jéj poddanych z przysięgi wierności. Zagrożona w ten sposób królowa, dyplomem z dnia 29 czerwca tegoż roku, prawa swe do neapolitańskiéj korony przelała na Ludwika księcia andegaweńskiego, brata Karola V króla francuzkiego. Tymczasem Karol Durrazo na czele ośmiotysiącznego wojska przybył do królestwa neapolitańskiego. W dniu 28 czerwca 1381 roku, ścisnął oblężeniem zamek Castel Nuovo, w którym schroniła się Joanna. Przywiedziona atoli do ostateczności, poddała się otrzymawszy słowo, że obchodzić się z nią będzie z godnością należną królowéj. Tak więc dumna i chciwa władzy Joanna przepędziła kilka miesięcy w samotném więzieniu pod strażą, nim ostatnia wybiła jéj godzina. Pojawienie się pod murami Neapolu przybyłéj floty z Prowancyi, nadto przygotowania do wojny Ludwika andegaweńskiego, wpłynęły ostatecznie na postanowienie Karola Durazzy pozbycia się niepokojącego widma uwięzionéj królowéj. Nasłani przez niego siepacze w d. 22 maja 1382 r. udusili Joannę modlącą się w kaplicy. Zginęła więc w tenże sam sposób co mąż jéj Andrzej, zamordowany prawdopodobnie z jéj wiedzą i zezwoleniem.

W okresie tym widocznie palec boży dotykał wiarołomców i morderców. W kilka lat późniéj, tenże sam Karol III król neapolitański (1385 r.) przybył do Węgier wezwany przez stronnictwo niezadowolone z rządów królowéj Elżbiety, wdowy po Ludwiku. Obwołany namiestnikiem królestwa, namawiał królowę, ażeby dobrowolnie złożyła koronę, zatém oświadczał się, że otoczy ją i córkę jéj Maryę najgłębszą czcią i przywiązaniem. Elżbieta z pozorną uległością zgadzała się na jego żądanie. Powodowana atoli zemstą i radą wiernego jéj palatyna Mikołaja Gary, postanowiła zgładzić podstępem swego wroga. Cześnik dworu Błażej Forgacz podjął się być wykonawcą jéj woli. Zaprasza wtedy najprzyjemniéj Elżbieta Karola do swych komnat i długo zabawia go rozmową. Skoro zmrok zapadł, za danym znakiem ukazali się Mikołaj Gara i Błażej Forgacz. Ten uderzył w głowę czekanem Karola, który napróżno wytężał sił ostatek w celu obrony, zatém upadł okryty ranami i krwią zbroczony. Zaniesiono go do więzienia, gdzie wkrótce życia dokonał. *(d. c. n.)*

PRZEGLĄD LITERACKI.

Propedeutyka Filozoficzna oparta na prawdziwych zasadach, przez ks. Franciszka Kautnego, z Towarzystwa Jezusowego. W Krakowie 1871 r. Stronnic 284 in 8 minori.

Propedeutyka znaczy wstęp, wprowadzenie do jakiejkolwiek umiejętności, może zatem być filozoficzna, prawna, historyczna i t. d. Niniejsza jest filozoficzną i obejmuje wykład Logiki i Psychologii jako części najważniejszych w całéj filozofii. Podobne propedeutyki zaczęto pisać główne jeżeli nie jedynie w Niemczech. Zastąpiono je następnie *encyklopedyami*, dodając jeszcze metafizykę czyli jak nazywano filozofię natury. Są to więc wiadomości początkowe, ale i zasadnicze do zrozumienia albo systemu, albo w ogóle dzieł filozoficznych. Ponieważ książka, którą mamy rozebrać, obejmuje Logikę i Psychologię, zacznie- my od pierwszéj.

Logikę takby można najkrócéj określić: Jestto nauka ucząca porządnego i gruntownego rozumowania. Inaczéj mówiąc jest ona sztuką dowodzenia. Rozumowanie składa się ze zdań, zdania z wyrazów. Logika tedy rozbiera najprzód rozmaite rodzaje wyrazów, zdań i wyników. Gdy to spełniła, podaje zasady rozumowania, formy jego, i ukazuje sofizmata czyli błędne rozumowania. Nareszcie ponieważ przez rozumowanie chcemy okazać prawdę, zaczém logika zastanawia się nad tém co jest prawda, jakie jéj cechy, jakie źródła, i na tém kończy swoją czynność. Taką logikę nazwano formalną, dlatego, że celem jéj głównie ustrzedz rozumującego od popełnienia błędu w formie rozumowania. Nazwano ją nadto dedukcyjną, dla tego że zdania czyli propozycye ma gotowe, ogólne i z nich wyprowadza szczegóły, to jest po łacinie *deducit*. Postępuje przeważnie od pozornych lub rzeczywistych ogółów do szczegółów.

Ojcem jéj Arystoteles. On w kilku księgach pod różnemi tytułami napisanych, zebrał te prawidła, które następcy połączywszy razem nazwali logiką. Pismom rzeczonym Arystotelesa nadali nazwę *Organon* lub *Organum*, chcąc przez to wyrazić, że są one niby narzędziem, w które trzeba się uzbroić, by można daléj w dziedzinie filozofii postąpić. Ztąd też i teraz logikę nazywają czasem takiém narzędziem czyli organem.

Po Arystotelesie objaśniali jego logikę albo sami poganie jak np. Porfiryusz ur. 233 r. naszéj ery, albo chrześciańscy uczeni osobliwie w czasach zwanych średniemi. Wprowadzono ją do szkół, na niéj zaprawiali się uczniowie i nauczyciele do rozpraw czyli do dyalektyki. W te czasy nadzwyczaj wiele rozprawiano: zakres wiadomości nadzwyczaj wolno się powiększał, ale jednak umysł ludzki nie próżnował. Logiczne pisma Arystotelesa uznano za tak doskonałe, że jedynie kuszono się o wynalezienie jakiego przykładu nowego lub zastosowanie form logicznych do teologii, prawa i fizyki. Całemu kierunkowi, jako głównie w szkołach i przez mistrzów szkolnych uprawianemu, nadano nazwę scholastycyzmu lub scholastyki. Logika Arystotelesa wytrzymała wszystkie przewroty, zużyła tysiące (bez przesady) głów na objaśnianiu arcymistrza i przetrwała do naszych czasów prawie bez zmiany. Taką to logiką formalną, szkolną jest ta, którą ojciec Kautny zamieścił w swojéj Propedeutyce.

Ci, co się uczyli podobnéj logiki, zwłaszcza po łacinie, przypomną sobie szkolne czasy jeżeli tylko zechcą logikę O. Kautnego przełożyć sobie w myśli na język łaciński. Jeżeli zaś nie słuchali logiki szkolnéj, a mogą czytać Arystotelesa i Porfiryusza, albo Dyalektykę Górskiego i Logikę Mościckiego (ta ostatnia z 1625 r.), mogą i z tych książek nabrać wyobrażenia, co to jest logika formalna. W artykule niniejszym niepodobna mi po szczególe wykładać téj nauki, dla tego do powyższych skazówek dodam jeszcze, że i logika O. Kautnego jest logiką formalną najczystszéj krwi, ale napisaną wcale jasno i dość poprawnym językiem. (O niektórych dziwolągach terminologii późniéj). Oryginalności nie znaleźliśmy żadnéj, i tém lepiéj, bo logika formalna tak jest wypracowana przez dwa tysiące lat, iż na oryginalność głośni metafizycy zdobyć się nie mogli. Układ sam jest zasługą Wolfa, Kanta i tych co po nich ją uprawiali, a układ ten, jak mi się zdaje, gorszym jest od samodzielnych i osobno stojących rozpraw Arystotelesa. Scholastycy narobili tyle działów i poddziałów, że dla ucznia utrudnili spamiętanie tego co istotnie jest potrzebne dla chcącego dobrze rozumować.

Z tego co powiedziano, czytelnik nie powinien sądzić, że logika formalna v. dedukcyjna nic nie warta, jak to przypuszcza wielu nawet piszących. Dla tego możemy im zalecić do czytania Propedeutykę powyższą, zwłaszcza że lepszéj szkolnéj nie mamy w naszym języku. (Dzieła Kremera i Trętowskiego są za uczone lub rozwlekłe dla początkujących). Przydałoby się studyowanie nawet formalnéj logiki i tym, co ją lekceważą, a jednak w pismach osobliwie czasowych okrutnie przeciw niéj wykraczają. Nie jestto takie straszydło jak sobie wyobrażają nasi publicyści i początkujący pozytywiści.

Lecz zalecając Propedeutykę O. Kautnego, nie znaczy to, jakobym się zgadzał na różne jego określenia, mniemania i terminologię; na orzeczenie filozofii, jéj podział i t. p. Tak np. filozofia ma być według autora nauką rzeczy bozkich i ludzkich, a ztąd zaliczenie teologii do filozofii. Mniemanie, że są jakieś pojęcia wrodzone, które nazywa transcendentalnemi, coraz mniéj ma zwolenników i dowieść tego niepodobna. Do takich liczy on: istotę, rzecz, jedno, prawdziwe, coś, dobre. Mają one być wspólne wszystkim ludziom i pierwiastkowe w umyśle ludzkim. Są to meta-

fizyczne stawy, w których się poławiają metafizyczne brednie. Jest wiele innych twierdzeń, na które zgodziłbym się nie mógł, a które pomijam, nie chcąc polemiką rozszerzać sprawozdania. Autor zrobił co mógł: dał logikę scholastyczną po trosze z łaciny, po trosze z niemieckiego tłómaczoną. Takich propedeutyk u Niemców nie brak; niniejsza przypomina mi Becka. Najważniejszy jednak zarzut, jaki można uczynić autorowi, jest zupełne pominięcie logiki indukcyjnéj. Niejednemu wiadomo, że w ostatnim półwieku, uczeni znużeni odżuwaniem logiki formalnéj czyli dedukcyjnéj, zaczęli się pytać, czyliby i do tłómaczenia zjawisk przyrodzonych i społecznych nie można zastosować logiki. Przecież i w badaniach natury i społeczeństwa nie można iść na ślepo, i tu trzebaby się kierować jakiemiś prawidłami.

Logika formalna, Arystotelesowa, czyli scholastyczna, nie podaje tu żadnych prawideł. Uczeni owi znaleźli w tym duchu pewne napomknienia w dziełach Bakona, A. Comte'a i J. Herschla. Wkrótce potém J. Mill ułożył taką logikę i stał się jéj twórcą. Za nim poszli: Aleksander Bain i Th. Fowler. Uczeni ci osobne księgi poświęcili logice dedukcyjnéj a osobne indukcyjnéj. Nie jest ta ostatnia tak wyrobiona jak Arystotelesowa czyli formalna, ale już dziś żadnemu pisarzowi logiki nie godzi się o niéj zapominać, a nawet nie wiedzieć. O. Kautny milczy o tém, jakby mieszkał w królestwie Dahomejskiém. Przecież nie dosyć dla człowieka, żeby rozumowanie jego było co do formy nienaganne; musi ono jeszcze wychodzić z premis, czyli zdań prawdziwych. Ażeby zaś tych zdań prawdziwych nabywać, trzeba patrzeć na świat materyalny i społeczny, ażeby znów dobrze na nie patrzeć i rozumieć przejawiające się tam objawy, należy mieć pewne wskazówki badania. Te daje logika indukcyjna; formalna jest prawie grammatyczną zabawką, indukcyjna stała się już dziś umiejętnością rozległą i wielce rozszerzającą zakres umysłowego badania. To ziemia jeszcze niewyjałowiona i niesie obfity plon temu kto ją uprawia. Tém bardziéj uczących się nie można zostawiać w nieznajomości tego, jakie zaszły zmiany w pewnéj gałęzi nauk, gdyż trzeba ich przygotować do zrozumienia dzieł, które im w ręce późniéj wpaść mogą.

Drugą część Prepedeutyki stanowi Psychologia zwana empiryczną. Dla czego empiryczną? Bo jak utrzymuje autor, opiera się na doświadczeniu, a doświadczenie z greckа zowie się *empeiria* (*empeiriu*).

Nic pożądańszego nad to, żeby się wszelka nauka opierała na doświadczeniu; ale zaraz zobaczymy co to za doświadczenie, które służy za źródło tym empirycznym psychologiom. Oto tém doświadczeniem nazywają oni zmysł wewnętrzny, albo jak nasz autor: myśl wewnętrzny. Co to jest ten zmysł? Jest to świadomość wewnętrzna, jaką mamy, gdy nas coś dolega lub weseli, gdy czujemy obawę lub nadzieję, gdy czegoś pragniemy lub coś odpychamy. Oczywiście zmysłem tego uczucia nazywać nie można, chyba przez nadużycie wyrazu, który całkiem co innego oznacza. O zmysłach mówi fizyologia; wiemy, że służą one za przewodniki zjawisk zewnętrznych do naszego ducha. To są zmysły prawdziwe. Zmysł zaś wewnętrzny, o którym mówi psychologia, jest wprost świadomém uczuciem naszego stanu wewnętrznego. Psychologia tedy empiryczna czyli doświadczalna, zamiast pójść po radę do fizyologii, zmysłów i nerwów, opowiada nam, co to są uczucia, żądze, wola, rozum, pamięć imaginacya, talent, geniusz, sen, czuwanie, choroby umysłowe i t. p. Tak samo zoolog lub botanik, opisuje nam swoje gatunki, rodzaje, klassy i t. d. Taki też sposób opisywania władz duchowych mamy i w niniejszéj Propedeutyce. U takich empirycznych psychologów bywa tych władz więcéj lub mniéj, określenia ich różne, zawisłość żadna. Jest to gromada owiec, które jak chcesz możesz przepędzać. Autor tu nie winien, chyba o tyle, że powtarzał stare plotki i wyrzekł się osobistego sądu. Na obronę jego to można powiedzieć, że takie psychologie są jeszcze w użyciu i że zasadniejsza nauka o zjawiskach i czynnościach umysłowych jeszcze leży w kolebce. I tu jednak, gdyby nie był kopistą, wiele mógł skorzystać z dzieł Herberta, Spencera, Baina, Taine'a, (De l'Intelligence). Przyznajemy, że i ci autorowie nie utworzyli psychologii, jakiéj reszta nauk wymaga, ale przynajmniéj korzystali z prac najlepszych fizyologów spółczesnych, ktorzy wiele objawów inaczéj i zasadniéj tłómaczą, niż na to pozwala jakiś zmysł czy myśl wewnętrzny. Oni są na drodze do psychologii empirycznéj. Prawda, że niektórzy z nich rozpuścili ducha w nerwach, i to jest słabą stroną ich rozumowań; lecz niemniéj daleko trzeźwiéj patrzą na czynno-



Szkic do obrazu Leopolda Nowotnego. (89).

ści mysłowe niż dotychczasowi empiryczni psychologowie.

Z tego co powiedziałem, czytelnik widzi, że psychologia empiryczna O. Kautnego nie jest gorszą od innych podobnych, lecz nauką nazywać się nie może, a zasługuje jedynie na nazwę katalogu władz duszy, z których o jednéj mówi się na stronicy o drugiéj na dwóch. Ale te opisy wcale nie tłómaczą związku tych władz z fizycznym organizmem; dla tego też opis stoi na piasku bez fundamentów. Twierdzić, że wrażenia umysłowe oddziaływają na fizyczny organizm, i na odwrót, że wrażenia zmysłowe oddziaływają na ducha, a nie okazać tego, znaczy to wypowiedzieć zdanie, które nikogo nie przekona, choćby sam tego doznawał. Musi on ujrzeć ten związek, który nie jest dziś hypotezą, lecz dowiedzioną mnóztwem doświadczeń prawdą. Dowiedziałby się o tém autor z pierwszéj gruntowniejszéj fizyologii.

Na ostatek kilka słów o terminologii autora. Bardzo pięknie mówi on (str. 28), że raz przyjętych wyrazów nie można zmieniać dowolnie, że mogłoby powstać babilońskie zamieszanie, że wyrazy służą do udzielania drugim naszych myśli i t. p. Pomimo tego nawprowadzał dziwolągów, które w książce szkolnéj są nie do darowania. Tylko znakomitym ludziom uchodzi podobne słowotwórstwo, i to wtenczas, gdy skromnie z téj swobody korzystają i trafne tworzą wyrazy. W przeciwnym razie lepiéj dla początkujących pozostać przy starych choćby i z łacińska brzmiących. Otóż nasz autor między innemi takie rarogi filozoficzne wymyślił: podstata (substancya) wsobny (subjektywny v. podmiotowy), przedsobny (objektywny v. przedmiotowy), całokształt (system, a całokształt dziecko Trętowskiego), objętość i rozciągłość pojęć (lepiéj treść i zakres), jednotnik (individuum, osobnik) płyn nieważebny (nieważki), magnetyzm zmysłowcowy (?), senzyści (sensualiści).

Nie mamy wprawdzie utartéj na wszystko terminologii filozoficznéj, tak jak jéj brakuje i w innych naukach; z tém wszystkiém jaka jest wystarczy do książek szkolnych.

Sąd nasz ostateczny jest taki: że chociaż Propedeutyka O. Kautnego nie jest arcydziełem, chociaż niewolna od pewnych zboczeń z drogi ścisłości naukowéj, jest jednak lepszą od wielu innych podobnych książek, i może z korzyścią być używana po seminaryach duchownych i szkołach cywilnych, gdzie ją wykładają.

Krupiński.

BRAMA POGAŃSKA

W NORYMBERDZE.

Wzmiankowaliśmy tę bramę, a raczéj wieżę przy bramie, mówiąc w Nrze 15 o Bamberdze.— Nazwę wieża ta podług niemieckich archeologów otrzymała od postaci potwornych wyrzeźbionych na jéj zewnętrznéj ścianie. Jakkolwiek jednak ci starożytnicy chcieliby znaczenie wyrazu *Pogańska*, wyprowadzić z saméj bezkształtności tych rzeźb, trudno jednak zgodzić się na to, raz dla tego, że ta okolica właśnie była punktem zetknięcia się pogaństwa lechickiego z Germanami, a powtóre, że kronikarze opisujący pogańskie świątynie Słowian z nad Łaby (Elby) i Odry, opowiadają z całą stanowczością, nieulegającą zaprzeczeniu, o wyobrażeniach bożyszcz umieszczanych na zewnętrznych ścianach, ozdabianych rzeźbionemi i pomalowanemi postaciami bożków. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby kto z podróżujących w tamtych okolicach rysowników zechciał nas bliżéj zapoznać za pomocą rysunku z temi potwornemi postaciami, w którychbyśmy może dopatrzyli się jakiego Prowego, Czernoboga, Bielboga, Swantewita, Marzanny lub jakiego innego bożka starosłowiańskiego.



Brama pogańska w Norymberdze. (90).

KORESPONDENCYA.

Paryż 12 Lutego 1872 r.

Korrespondencyę obecną poświęcam głównie zbadaniu przyczyn, które sprowadziły na Francyę plagę miecza i w przeciągu kilku miesięcy strąciły ją ze stanowiska zdobytego tysiącznoletniém wysileniem.

Aczkolwiek znana jest powszechnie historyczna przeszłość Francyi, tak rozliczne jednak były zapatrywania się na nią i tak rozmaite jest ocenianie przyczyn upadku tego narodu, że konieczną jest dziś rzeczą zejść do jego wiekowych przepaści, i z hieroglifów rozrzuconych po tych wulkanicznych dziejowych czeluściach, ułożyć treściwą całość rozświetlającą przyczyny zewnętrznych objawów.—Bez tego zwrotu w ubiegłe wieki, niepodobnaby mi było uwydatnić głównych cech dzisiejszego rozstroju Francyi, jak równie jéj umysłowego kierunku, ani też dopytać się dróg jakiemi ma ona podążać ku odrodzeniu. Zaciemnienie ducha jest tu tak wielkie, że gromowe błyskawice zeszłorocznych klęsk były i są dotąd, jak ogniste głoski Baltazarowéj biesiady, niezrozumiałe dla narodu.

Jedni widzą ich przyczynę w Napoleonie; inni w republikanach; ci znowu w monarchistach różnych odcieni — ale nikt nie sięga daléj. Poszukiwania moje nie będą też, zdaje mi się, bez pożytku i dla naszego społeczeństwa; naśladownictwo bowiem nałogowe rzeczy obcych, na pozór pięknych i powabnych, a w gruncie zgubnych, przyniosło nam nieobliczone szkody. Trucizna Zachodu była zawsze dla nas słodką i pożądaną. Piliśmy ją długo z rozkoszą i bez z przerwy. Od Henryka Walezyusza aż do 1789 roku, psuła ona i rozkładała nasze obyczaje — od 1789, inna subtelniejsza od pierwszéj, pod firmą lekarstwa na rany społeczne, truje dotąd ducha społecznego i odwraca go od prawéj drogi. Czas już nam zdać sobie sprawę z zabójczego jéj wpływu i poszukać w głębi własnego sumienia antydotu na to otrucie.

Wycieczka moja na pole historyczne Francyi powtarzać się nie może. Streszczam więc całość moich poszukiwań w jednéj korrespondencyi.

Liczę wiele w téj pracy na pobłażliwość szanownych czytelników, którzy nie wątpię, że zechcą uwzględnić trudności, jakie napotykam w zredukowaniu obrazu tak niezwykłych rozmiarów do ramek, w których muszę go pomieścić, i w nadaniu mu konwencyonalnego kolorytu, który zniewala mnie do zmodyfikowania effektów optyki—a razem wystrzegać się każe zbyt wyrazistych tonów tak światła jak i cienia.

Ze wszystkich narodów szczepu łacińskiego czyli raczéj romańskiego, naród francuzki w wiekowym swoim przebiegu rozsiadł się najrozkoszniéj i najszerzéj geograficznie, a rozwinął się najpełniéj intellektualnie i moralnie. Wpatrując się uważnie w jego rodowe cechy, nasuwają się mimowolnie na myśl obietnice boże uczynione ludowi izraelskiemu, i zdaje się, że to ten sam lud z Judei, przeobrażony, wszedł w posiadanie obie-

canéj ziemi i zajął przeznaczone sobie wśród narodów miejsce. Kraj piękny, żyzny, bogaty,— klimat łagodny i urozmaicony; gdy od północy ziemia bieleje śniegiem, a mróz ścina powierzchnie jezior i rzek, od południa szemrzą strumyki i kwitną róże, — lud piękny, sympatyczny, dzielny, pełny świętego ognia i rycerskiego ducha. Kiedy inne ludy piją wodę, kwas lub piwo, a jedzą czarny chleb — tu najuboższy wyrobnik pije wino, a karmi się chlebem białym i pożywnym. Granice tego kraju sam Bóg oznaczył. Z jednéj strony piętrzą się zielone fale Oceanu— z drugiéj, lazurowe Śródziemnego morza. Od południa. uwieńczone kwieciem i drzewami, stoją wspaniałe Pirenejskie góry. Daléj ku wschodowi, podobne skamieniałym zastępom sędziwych olbrzymów na wiekowéj straży granic, ciągną się długim szeregiem białe Alpy.

Od kolebki naród ten wziął za godło *„Krzyż i Miecz”*. Zadaniem jego było urzeczywistnić proroctwo jednego z Dawidowych Psalmów: Stworzyć porządek boży i zamknąć erę wojen. Kierowany ku celowi temu więcéj przeczuciem niż wiedzą, zdobywał on stopniowo siłę moralną i materyalne zasoby na przeprowadzenie tego wielkiego dzieła. Pierwsza myśl, jeszcze niewyraźna, tego posłannictwa, zaświtała w sercu Henryka IV, a w późniejszych czasach sformułował ją już jaśniéj i pełniéj sam naród, nazwawszy się *„Rycerzem Bożym”*.

Jedna z charakterystycznych cech zbliżenia duchowego Francyi z Izraelem objawia się w jéj fanatyzmie religijnym, którego krwawe wiekowe mordy prześcignęły w okrucieństwie Mojżeszowe czasy a wyrównały pogańskim. To odstępstwo od prawa Chrystusowego skaziło ducha i stępiło sumienie narodu; rozwój więc jego moralny i polityczny odbywać się musiał anormalnie. Tu leży pierwsza przyczyna jego częstych bolów i pierwszy zaród złego. Francya podobna choremu, którego silny organizm walczy ze śmiercią, zgorączkowana, skrwawiona, pasuje się przez wieki z zatrutym żywiołem nurtującym w jéj wnętrznościach. Próżne wysilenia. Groźny dogmatyzm wieje wciąż zabójczym chłodem do dusz i napełnia je coraz większą ciemnością. Wiązadła społeczne naprężone straszliwie, drgają konwulsyjnym ruchem. Kasta możnych i teokratyczna, strzegą zaklętego koła. Jedna podtrzymuje drugą. Kto się podda pierwszéj ciałem, choćby był szatanem w duchu, zbawion. Kto się zaś odważy podnieść głos przeciw tym nadużyciom i mordom, dokonywanym w imię Chrystusa, wyklęty, lub żelaznemi kleszczami nawracany do Boga. Obok prześladowań religijnych, przywileje szlachty i duchowieństwa (naturalny wynik tego pogańskiego kierunku ducha) obarczają niemiłosiernie biedny lud brzemieniem niepodobném prawie do dźwigania, a rażącą sprzecznością słowa z czynem, kuszą go do zemsty i do zbrodni.

Inicjatywa fanatyzmu wyszła od duchowieństwa. Władza królewska i świeckie urzędy, były tylko narzędziami siły i prześladowania w jego ręku. Entuzyazm religijny średniowiecznych czasów, który tak bogate obiecywał plony, gasł powoli pod tym piekielnym naciskiem, a w końcu zamienił się w hipokryzyę, w przestrach lub w nienawiść. — W miarę rosnącego oburzenia władze duchowe i świeckie zużywając się wzajemnie, traciły stopniowo na powadze, a rozwiązłość obyczajów szlachty duchowieństwa i panujących w XVII i XVIII wieku, podała ich ostatecznie w pogardę. Tu zaczyna się epoka nowa, w któréj objawiło się to, co zawsze zwykło objawiać, ile razy w narodzie jakim zapanuje i dojrzeje myśl kierunkowa: znajdzie się zawsze ktoś, co ją sformułuje. Raz rozwinięta, wraca do źródła zkąd wyszła, przenika massy, a jeśli czysty ogień ją zapalił, tworzy nowy nastrój ogólny, i tak spotęgowana, zamienia się w gwałtowny niczém niewstrzymany prąd—lub w przeciwnym razie staje się trucizną niszczącą powoli społeczny organizm. Tak się też stało we Francyi. Z waru długo tłumionych namiętności, wynurzyły się na jaw nieznane postaci. Byli to Encyklopedyści i Wolter: nowa szkoła filozofów, czyli raczéj zdolnych pisarzy—bo filozofia, jest to zdrowe myślenie i zdrowy sąd o rzeczach, oni zaś jako uosobienie narodowych mętów i nienawiści przedstawiali tylko ducha negacyi—czyli siłę rozkładową, niszczącą—nic więcéj. Byli tém dla Francyi w porządku moralnym, czém jest merkuryusz w medycynie—lekarstwem gorszem od choroby.

Naród francuzki namaszczony na przewódcę ludzkości, nie mógł spełnić swego powołania na inném polu jak tylko na chrześciańskiém. Filozofia XVIII, wieku zaszczepiwszy w nim sceptycyzm i ateizm, zadała mu cios śmiertelny. Przygotowała ona wprawdzie Francyę do rewolucyi, ale duch jéj przez nią otruty, nie mógł w chwili danéj podnieść się na szczyt swego powołania. Gdzie króluje namiętność, tam koniecznie musi być sędzią siła, a prawem stos lub topór. Gorączka rewolucyjna 1793 r. dowiodła tego najdobitniéj; przedstawiła bowiem w życiu polityczném narodu taką samą anomalię, jaka się objawiła niegdyś w jego fanatyzmie religijnym: Hasłem księży było *wiara albo śmierć*; hasłém fanatyzmu politycznego: *braterstwo, albo śmierć*. Dwa kierunki bez wyjścia. W przebudzeniu się tém jednak polityczném narodu, było olbrzymie napięcie ku dobremu — ale na nieszczęście, był to tylko zapał gorączki nie zaś zdrowia. Porwany szałem wolności, kruszy on kajdany, któremi go spętali dawni jego przewódcy, obala przywileje — w ślad za tém, na znieważonym ołtarzu Chrystusa, stawi nagą wszetecznicę, którą chrzci imieniem *„Bogini rozumu”*, a jednocześnie wprowadza chrześciańskie zasady do swoich nowych ustaw i wypisuje ewangeliczną dewizę na murach swoich gmachów. Dziwna aberacya ducha ludzkiego, w ciemności czasów!... Wszystkie dobre popędy, w téj epoce, miały swoje źródło w wiekowéj aspiracyi narodu do prawdy i do wolności chrześciańskiéj; wszystkie zaś zdrożności, co im towarzyszyły, były owocami zasianéj przez filozofów XVIII wieku trucizny. Prawdziwy postęp moralny i polityczny Francyi, nie zacznie się pierwéj, aż naród to pojmie.

Niewątpliwą jest rzeczą, że wielkie szlachetne poruszenia ducha w człowieku zbezwładniają w nim złe popędy—i jeśli nie niszczą, to przynajmniéj zatrzymują rozwój zgubnych zarodów. Co jest prawdą psychiczną w osobniku, jest nią i w narodzie. Entuzyazm wolności wywołany we Francyi rewolucyą 1789 r., zatrzymał nagle działanie rzuconéj uprzednio do jéj piersi przez filozofów trucizny. A że zapał rósł w miarę szerzącéj się sławy i bohaterskich czynów młodéj Rzeczypospolitéj, rozkładowe więc jéj pierwiastki nie mogły na razie zakiełkować i leżały bez wzrostu w głębi ducha. Cesarstwo, górnego kierunku narodu, nie osłabiło. Chrzest ognia i krwi powtarzany ciągle utrzymywał hart moralny. Bohaterstwo było stanem normalnym Francyi, a sława jéj chlebem powszednim. Nie było więc tam miejsca dla ateizmu, ani dla formułek filozoficznych. Egzaltacya zaś do pięciofrankówki była naonczas rzeczą wcale nieznaną.

Po klęsce pod Waterloo, boleść z doznanego upokorzenia utrzymała jeszcze długo dawny nastrój ducha. W czasie restauracyi, pieśni Bérangera, odświeżając wczorajsze wspomnienia, elektryzują ducha.

Nastaje panowanie Ludwika Filipa—a z niém nagły zwrót ku sferze dobrobytu z odrzuceniem narodowego ideału. Natomiast, minister nowego monarchy intronizuje w Izbie ideał swego pana: system polityczny, *de chez soi et de pour soi*. Materyalizm rozwija się coraz silniéj, a duch Francyi coraz upada. Polityka zewnętrzna bez godności i energii, staje się wkrótce wyrzutem sumienia dla narodu. Ratuje się on nienawiścią ku zabójczemu systematowi. Wybucha rewolucya 1848 r. Ludwik Filip wygnany, ucieka; zgubny jego system zostaje i wciela się w mieszczaństwo (dans la bourgeoisie). W owéj bowiem chwili sam lud tylko pojmował doniosłość błysku narodowego ruchu, gdyż iskra, co zapaliła piorun, wyszła z jego łona. Była to chwila stanowcza— ale Ludwik Blanc przychodzi jak raz w porę, aby ten ruch narodowy skonfiskować na rzecz socyalizmu — i ten niedorostek polityczny rozprawia w pałacu Luksemburskim o organizacyi pracy, i kusi lud do eskontowania świętéj iskry patryotycznego zapału na obietnicę dobrobytu. Nie długo też trwa zapał: we trzy miesiące późniéj tonie we krwi i w błocie.

Zaszedł w owym czasie fakt bardzo ważny, odnoszący się do duchowieństwa, o którym wspomnieć muszę. Lud rozgrzany świętym zapałem, okazał księżom wielką i serdeczną sympatyę. Otworzył im na oścież wrota do dostojeństw— mnogich członków duchowieństwa wprowadził do izby—słowem, dał mu pełne zaufanie. Przyjście Napoleona do władzy, a przez władzę do coup-d'état, odsłoniło skrytości sumień. Kiedy potém z rozkazu rządu policyanci obalili toporem wszystkie drzewa wolności sadzone z wiarą w przyszłość Rzeczypospolitéj, księża nienawidząc téj formy rządu, stanęli jawnie po stronie siły i zaczęli przyklaskiwać wszystkiemu co się działo. W ślad za tém, arcybiskup śpiewa Te Deum, w cześć dokonanemu bezprawiu. Lud zrozpaczony rzuca się w objęcia socyalizmu, który na to tylko czyhał. Tu ciemność duchowa ogarnia cały naród. W téj nocy sumień, Francya daje Napoleonowi rozgrzeszenie za jego coup-d'état. Absolucya ta staje się jéj sądem. Naród wchodzi na drogę kary. Rozpasanie brzucha i rozumu nie ma już granic. Na tym rozgnojonym gruncie, zasiew Encyklopedystów i Woltera rozwija się nagle i gwałtownie, i wyplenia dobre ziarna. Ateistyczny socyalizm Prudhona przyśpiesza rozkład. Wolna wola bez żadnego karbu przybiera nazwę religii przyrodzonéj — Wszystkie klassy społeczeństwa pogrążone w materyalizmie i w rozpuście, upadlają się i zwierzęcieją. Aspazye we wspaniałych powozach obryzgują błotem wychudłych od pracy wyrobników i biedne kobiety ludowe, z których nie jedna chcąc żyć uczciwie, pracować musi kilkanaście godzin na dzień, aby nie umrzeć z głodu. Ta złocona rozpusta, napełnia ubogi lud zawiścią i zaszczepia w tych duszach, z których wygnano Boga, straszne żądze i straszniejsze jeszcze zamiary. Księża grzmią z kazalnic przeciw materyalizmowi, a wyszedłszy z kościoła, idą składać hołdy naczelnikowi narodu, z którego pałacu, *Teresa*, dla uciechy świetnego grona, śpiewa sławną po szynkach paryzkich piosnkę: *„Rien de sacré pour un sapeur.”*

Cudzoziemcy podziwiają ten splendor dworu. Szczęśliwy kto za pośrednictwem swego ambassadora wciśnie się choć raz do cesarskich salonów.

Napróżno ludzie z wyższym duchem ostrzegają naród o złym kierunku— na próżno dowodzą, że ten blask, który olśnił Francyę, nie jest czém innném jak światłem próchna w ciemności czasów. Napróżno ostrzegają wielbicieli siły, co liczą na wielkość cesarską, że wielkość ta jest złudzeniem. Napróżno. Uwielbienie rośnie, a rośnie. Tymczasem obumiera z każdym dniem Francya na pozór zdrowa i silna, coraz niżéj upada. Tak zwane *zdechlaki* (les petits crevés—młodzież modna) rej wodzą. Każde uczucie czyste wyśmiane— każda prawa i wyższa dążność głupstwem, złoto i rozkosze, wszystkiem.

Kiedy naród bawi się tak w kałuży, przychodzi nowy Attyla, aby go zapytać: gdzie jest Bóg? Na drodze spotkał on pomnik postawiony Wolterowi, ale nie było już drugiéj Joanny d'Arc, aby odpowiedzieć najeżdźcy.

Wiadomo wszystkim co się stało późniéj. Na nieszczęście to straszne rozdarcie i upokorzenie Francyi nieobudziły jéj ducha i nie podniosły. Ostatnia plaga wojny domowéj powiększyła tylko zamęt moralny. Uczucie posłannictwa stracone. W osobnikach tylko, gdzie niegdzie, iskrzy się uczucie wyższe. Ogół, żąda tylko, jak za czasów rzymskiego upadku: „chleba i widowisk!“ Do ideału narodowego nietylko że nie tęskni, ale go nawet nikt nie pojmuje. Stronnictwa polityczne szarpią Francyę w kawały. Sztandary ich różne, ale cel jeden: „*spokój i używanie*.“ Polityczne szermierstwo republikanów z monarchistami trzyma kraj cały w niewymownéj męce ducha i paraliżuje przemysł i handel.

Taki stan rzeczy nic dobrego nie wróży. Czuć tu w powietrzu piorunową burzę. Jakiś nowy kataklizm grozi tutejszemu społeczeństwu.

Zeszłego miesiąca zdarzyło mi się spotkać kilku Francuzów, których stan moralny bardzo mnie ucieszył. Pierwszy to raz (od czasu pruskiego najazdu) widziałem w tutejszych krajowcach głęboki a prawdziwy ból—i to nie nad upokorzeniem narodu, nie nad klęskami, które go dotknęły, gdyż uważają je za zbawienne, ale nad jego zniżeniem moralném, które sprowadziło te bicze— i nad ślepotą i złą wolą, która tamuje jego postęp. Dobry to znak, kiedy w osobnikach zaczyna się już wyrabiać uczucie prawdy. Daj Boże, aby się rozpleniło to prędzéj i błysnęło narodowi zorzą zbawienia. *T. R.*

LITERATURA ZAGRANICZNA.

Zur Abstammung der Slaven, — historisch — sprachliche Skizze von W. Obermüller 1871. (O pochodzeniu Sławian, etc. etc.)

Wiadomo niejednemu z czytelników, do jakichto wniosków i domysłów uciekali się nieraz kronikarze i historycy nasi, ażeby dotrzeć do źródła pochodzenia Sławian. Początek Sławian, to dzieje niezmiernie dawne. Ani kronikarze ani tradycye nie sięgają tych czasów. Jeszcze może tylko podania mytologiczne i sielskie mogłyby wyświecić niejeden oderwany punkt tego zaniklego od wieków okresu; ale i one nie wystarczają; przeciwnie, dla zbyt wielkiego podobieństwa z innemi tego rodzaju obrzędami i zwyczajami, osłabiają jeszcze bardziéj prawdziwość naszego pochodzenia. Pozostaje jeszcze tylko jeden środek dla badaczów dochodzących pierwocia sławiańskiego;—tym środkiem mogłyby być resztki starych języków, jakiemi mówiono w Europie i Azyi w owych peryodach, kiedy się zawięzywały pierwsze ludy i narodowości europejskie. W samęj rzeczy lingwistyka wsparła niezmiernie dziejopisarzów; mozolne studya lingwistów wyświetliły już niejeden ciemny punkt dziejów przedwiekowych. Zdaje się więc, że dopóki się nie znajdą inne szczegóły i dowody historyczne, obowiązkiem będzie lingwistyki przyświecać i daléj także swojém światłem po tych ciemnych drogach pierwocia ludzkiego. Ale i ona ma swoje wadliwości: buduje bowiem nieraz swe prawdy na zabytkach starych kategoryj języków, które nietylko że nie zawsze odpowiadają celowi, ale raz przyjęte jako „fakta,“ stają się późniéj niewyczerpaném źródłem fałszywych wniosków. Do takich fałszywych premiss lingwistycznych należy między innémi i owa ślepa wiara w samskryt i jego rozłogi; do samskrytu odwołują się wszyscy niemal lingwiści. W istocie podobieństwo języków staroitalskiego, starogiermańskiego i starosławiańskiego do języka Indów azyatyckich jest bardzo zbliżone; ale zbliżenie to polega w gruncie na złudzeniu i na refleksie całkiem *innego* języka, nieuwzględnianego dotąd prawie wcale — języka również starego, również azyatyckiego, ale daleko bliższego zawiązków europejskich. Językiem tym była mowa *Celtów*, tych pierwszych „pelazgów“ europejskich. Oni to dali Europie nowe kształty, nowe plemiona, nowe narzecza, nową kulturę. Z Celtami zatém należałoby już liczyć się nieco ściśléj w dochodzeniu języków i historycznych zawiązków rodzin europejskich. Materyał-to tém cenniejszy, że dla wyraźnych rysów swoich i faktycznego powinowactwa z istotą następnych i nowszych wieków, nie pozwala lingwistom bawić się w tezy historycznej jakoby wyższości tego lub owego narodu. Lingwiści niemieccy nie bardzo będą radzi zjawieniu się tego nowego elementu, bo wszystkie dotychczasowe tezy Bopów i Grimmów absolutnéj uniwersalności *indogiermanizmu* w Europie, oraz polityczno-tendencyjne wnioski o historycznych jakoby prawach kultury giermańskiéj do łona Europy i ziem ościennych, upadają ze szczętem! Według odkryć najnowszych są tak sobie Niemcy *) jaki mizerni Sławianie wytworem celtyckiéj kultury—jedni ani na włos wyżsi lub starsi od drugich. Jeżeli zaś z rozwojem wieków cywilizacya nad Odrą, Wisłą i Dunajem nie zrobiła tych samych postępów co w środku i na zachodzie Europy, to przyczyn tego opóźnienia szukać należy w gwałtownych i ustawicznych przeciwprądach dziczy azyatyckiéj, która się tłoczyła wówczas masami po głowach naszych ku zachodowi, burząc i spychając oświatę ze zdobytych torów.

Te słowa nasze popiera w części rozprawa W. Obermüllera o pochodzeniu Sławian, dająca Sławianom początek *celtycki*, Polakom zaś początek *celtycko-tracko-sarmacki*. Dotychczasowa nazwa „Sławianie, Słowianie,“ która lingwistom sprawiała dotąd tyle kłopotu, jeszcze wyświecona nie została i w niczém też sprawy historycznéj nie wyświetliła. Jedni wywodzili ją od sławiańsko-bizantyjskiego *Sklaboi* — ztąd późniéj *sclavus, sclava, schlava*, czeskie *chlap* (poddany), u Słowieńców *chlapez* (chłopiec czyli sługa). Inni wywodzą nazwę Sławian od czeskiego i koruntańskiego *sława* i staroszkockiego *sluaigh, sluoigh* (wymawiaj *sluaw, sluow*), coby znaczyło „*naprzód wiara!*“ W starosławiańskich pieśniach religijnych zachodzi wprawdzie także wyraz *sława* ale w znaczeniu „*chwalmy Boga*.“ Inni przyjmują pierwiastek „*lub*,“ po naszemu *zręczny, dzielny, sławny*; ale i ta nazwa jest jak na pierwszych Sławian za pretensyonalna. Autor pomienionéj rozprawy odrzuca te dedukcye jako nie historyczne, raz że plemię zamieszkujące tak ogromną przestrzeń (od Adryatyku do Bałtyku, od Wezery do południowéj Rosyi) nie mogło dać sobie samo jak na komendę tak buńczucznych nazw; powtóre, że żaden w ogóle naród, nie dawał sobie nigdy sam nazwiska swego, a tém mniéj pierwsi Sławianie, którzy nie mogli mieć nawet idei o panslawizmie. Inni wreszcie historycy szukają pochodzenia i nazwy sławiańskiéj w samskryckiémi w łacińskiém *laus* (chwała), ale wyraz ten nie jest bynajmniéj samskryckiego lecz staroceltyckiego pochodzenia od *cloth* (sławny), ztąd *Clotho, Clothwig, Ludwig*; gdyby bowiem był wyrazem samskryckim, musiałby oznaczać „*czcicieli słońca i księżyca*,“ co się znowu nie zgadza z pierwotną religią Sławian. W ogóle Indye azyatyckie jako źródło do historyi i lingwistyki, są wprawdzie łakomą i ponętną rzeczą, ale z drugiéj strony niemało złych wniosków napłodziły: do Indyi szły wprawdzie nowe dopływy z Afganistanu i Tybetu, lecz z nich samych nie wyszły żadne znaczniejsze plemiona ku północy. Indye nie mogły mieć zatém żadnego wpływu na ukształcenie się północno-azyatyckich i europejskich stosunków. Autor nasz dowodzi, że drogi do rozwikłania starogiermańskich i starosławiańskich początków, szukać należy w saméjże Europie kluczem; zaś do tego enigmatu winny być miejscowe właściwości tych plemion, które jeszcze przed napływem Rzymian i Giermanów uwijały się po środkowéj Europie.

Temi plemionami ruchomemi byli zdaniem autora *Celtowie*. Wyraz *Slavus, Slavan* pochodziłby tedy od celtyckiego *luibh* czyli *sluibh* (późniejsze *laub*) po polsku *puszcza*; wyraz ten brzmiał potem jako *slab, slav*, a w połączeniu z wyrazem *an* (człowiek) przeszedł w ogólną nazwę *slavan, slov-an, człowiek puszcz*. Że tak Sławian nazywać musieli Frankowie i Giermanowie i że nazwa ta jest historyczną, dowodem tego jest między innemi i ta okoliczność, że wszystkie nazwy sławiańskie jak *Getowie, Yettowie, Wendowie, Windowie, Wandale, Ruteni, Rusini, Wildzy*, i t. d. oznaczają w przekładzie na włos to samo co *slav-an* t. j. *człowieka puszcz*. Nawet jeszcze w ostatnich latach wieków średnich nazywano lesiste okolice Turyngii *Leuben, Lauben*, po polsku *lasy* (z tego późniejsze *Slavan, Slaven*), i w tychto rzeczywiście stronach zetknęli się poraz pierwszy Frankowie i Giermanowie z naszymi praojcami, których dla koczującego życia po nieprzebytych puszczach i lasach nazwano „*ludźmi lasów*,“ czyli *Slav-an, Slaven*. Autor robi bardzo słuszną uwagę, że kto się zabiera do badania początków Sławiańszczyzny, powinien koniecznie zdać sobie sprawę z wszystkich nazw tego rodzaju, bo wtenczas dopiero wiedzieć może na pewno, z jakiemi pierwiastkami ma do czynienia. Wszystkie bowiem nazwy starosławiańskie nie są imionami własnemi (*nomina propria*), ani téż dowolnie lub przypadkowo narzuconém mianém, lecz są to raczéj samę *appelativa*, nazwy pospolite, przywiązane do natury miejsca i zatrudnień pojedyńczych plemion, i na to właśnie dobrze uważać należy. Żaden-bo naród nie dawał sobie nazwy ogólnéj, tak jak jéj sobie nie dają jednostki: — nasze nazwy plemienne dostaliśmy od sąsiadów — *oni* nam je dali. Wszelkie natomiast ogólne i zbiorowe nazwy są wymysłem nowoczesnych geografów i etnologów, którzy nie znając pierwiastkowych języków Europy, szukali źródeł i przyczyn nazw plemiennych

*) Nazwa dzisiejsza „*Niemcy, Niemiec*,“ pochodzi od dawnego „*neamhuid*“ po polsku „*wróg*,“ a nie od naszego „*niemy!*

w miejscowych językach, zamiast ich szukać w sąsiedztwie lub dalej nawet; z tąd też potém tyle mylnych a złudnych wniosków o pochodzeniu narodowości. Tego grzechu dopuścili się tak dobrze niemieccy i sławiańscy uczeni jak Rzymianie i Grecy, chociaż ci ostatni, znajdując się dosyć blizko naszego pierwocia, trafniejsze robili domysły aniżeli nowsi historycy i lingwiści. W ogóle wszystkie starodawne nazwy w Europie, małéj Azyi i północnéj Afryce są *celtyckiego* pochodzenia; można je zatém i dziś jeszcze przy pomocy iryjskiego i bretońskiego czyli szkockiego narzecza sprowadzić do właściwego źródła i znaczenia: — pokazują też one w saméj rzeczy, że ludy zachodniéj i centralnéj Europy musiały mówić narzeczami celtyckiemi, co do pochodzenia zaś tworzyły mięszaninę celtycko-autochtońską (celtycko-miejscową). W rodowodzie Galwa prawda ta stała się pewnikiem historycznym; tylko kiedy szło o Niemców i południowych Sławian, niemało trzeba było wyłożyć pracy, ażeby przekonać etnologów, iż nazwy, które w niemieckim i sławiańskim języku żadnego nie dają sensu, mają go w języku staroceltyckim — że więc muszą one być pochodzenia celtyckiego, i że zatém w Niemczech, Polsce, Czechach, nad Dunajem, w Illiryi i Rusi *Celtowie* przebywać musieli. Autor nasz broni téj prawdy swoim niemiecko-celtyckim słownikiem, w którym na mocy kilkunastu tysięcy celtyckich wyrazów dowodzi obszernie i wielostronnie, że wszystkie niemal starodawne nazwy okolic, gór, rzek, wód, gmin, plemion, zwyczajów, wreszcie osób historycznych i mytologicznych są pochodzenia *celtyckiego*; w téj zaś rozprawie, o któréj mowa, zwraca tylko uwagę etnologów i historyków na samych Sławian wykazując szczegółowo, *że Sławianie nie są czém inném jak resztkami staroceltyckich plemion, osiadłych nie przed tak dalekiemi wieki nad Elbą, Odrą, Wisłą i Dunajem, zmięszanych od północy z Finnami, od południa z Iberami.* — W ogóle dziełko p. Obermüllera należałoby sprawdzić rzetelnie, ponieważ w wielu szczegółach bliższém jest prawdy historycznéj aniżeli dotychczasowe badania etnologów. W każdym razie jego słownik niemiecko-celtyckich narzeczy, którego nie mamy w téj chwili pod ręką, mógłby nas przekonać o rzeczywistości tych nowych hypotez. Przy sposobności postaramy się jednakże sprawdzić tę rzecz wyczerpująco; dziś zdajemy tylko referat z téj sprawy jako nowości, mogącéj zainteresować niejednego z naszych czytelników choćby już tylko z tego jednego względu, że nam ją autor przedstawia jasno, treściwie, poważnie, i co najrzadsza jak na Niemca tych czasów namiętnych — w barwie *bezstronnéj.* *August Jeske.*

NIE WIERZ MĘŻCZYZNIE

HUMORESKA.

W roku niepowiem którym, w miesiącu maju młody człowiek jechał szteinkellerką po dobrze ubitéj drodze traktu***. Gdyby kto z was czytelnicy a przedewszystkiem czytelniczki był tyle ciekawym i zapytał kiedy się działa niniejsza opowieść, odpowiem mu krótko węzłowato, że może się nader łatwo domyśleć iż to było bardzo dawno, skoro wtedy istniał jeszcze maj, zdarzali się młodzi ludzie, kursowały szteinkellerki, a żwirówki bywały dobrze ubite.

* * *

Nie sądźcie jednak, że opowiadający to prawdziwe zdarzenie, poczęstuje was narzekaniem na dzisiejsze czasy; podobnie nudny zamiar ani mu powstał w głowie. Chciał on tylko ograniczyć się na skromnéj uwadze, że onego czasu w maju nie palono jeszcze w piecach, młodość patrzała tylko przed siebie wyciągając ręce do ideałów i nie oglądała się po za siebie z obawą czy się oto nie rozgniewa małpa — protoplasta; szteinkellerki przyjmowały do swoich gościnnych pudeł wszystkie te kapryśne natury którym szło o to aby podróżować wolno, a marzyć jak najszybcéj,— a drogi bite zasiane były stosunkowo nie wielką liczbą zębów pasażerskich.

* * *

Jechał tedy ów młodzieniec a nie jechał sam, bo trzy pozostałe miejsca starożytnego dyliżansu zajęte były przez dwie osoby należące do nadobnéj, i jedną liczącą się do upośledzonéj połowy rodzaju ludzkiego. Niewiasty, widocznie matka z córką, siedziały przy sobie mając na przeciwko dwóch towarzyszów podróży: naszego młodego bohatera i jego kolegę o którym zwyczajną koleją rzeczy ludzkich mówi się na ostatku dla tego tylko że nie jest żadnym bohaterem. Cóż chcecie! sądy ludzkie te same są w historyi co i.... w dyliżansie, — wyrokują według powodzenia!

* * *

Schylając głowę przed wiekiem, zapewniamy was najprzód że mama była bardzo poważną osobą. Świadczyły o tém przedewszystkiem siwiejące już włosy które okalały twarz długości bardzo niedogodnéj w podróży, bo wymiar ten szczodrze szafowany przez naturę w całéj postaci szanownéj matrony, — niepozwalał jéj naprzykład wygodnie wyglądać przez okno wehikułu, narażając na zatrzymanie się w górze ramy o grzebień rezolutnie w głowę wetknięty,—u dołu, o brodę wyzywająco naprzód wysuniętą. Zresztą rysy téj twarzy, w któréj linije proste i kąty ostre naprzemian oko patrzącemu wykłuwały, tchnęły imponującą surowością i dumą, niby twarz Junony w czasach kiedy lekkomyślny jéj małżonek, Jowisz, uganiając się za kochankami w postaci różnych dwu i czworonogów, kreślił pierwsze podstawy darwinizmu.

* * *

Jaka za to harmonia owalów i zaokrągleń w drobniutkiéj i zachwycającéj figurce dziewczęcia, które przechylone całą kibicią ku bocznéj ścianie pudła, zatopiło swe wielkie szafirowe oczy w mglistą oddal krajobrazu, wolno i uroczo przesuwającego się przed wzrokiem podróżnych. Jakże czarownie rysowała się na tle ciemnego obicia dyliżansu, ta jasna sylwetka olśniewająca wszystkiemi blaskami młodości, wszystkiemi odcieniami nieprześnionych złudzeń, niezważonych nadziei! Dziewczątko to było najwyżéj szesnastoletnie; ale na tém czole, umiarkowanie i prawidłowo wypukłem, nad tym noskiem maleńkim, prostym, po grecku przedłużającym linję czoła, w pewnéj malutkiéj zmarszczce, nadającéj całéj twarzyczce wyraz siły i energii,—zasiadła starsza mądrość, — rozum nie szesnastoletni. Ten odcień powagi, który z daleka jakby przez mgły przywoływał przed oczy podobieństwo z matką, rozpływał się najczęściéj w uśmiechu ust koralowych, maleńkich cudnie zarysowanych, i ustępował miejsca wyrazowi błogiego spokoju i niezachwianéj ufności w przyszłość. Młodziutka podróżna ubrana była w skromną perkalikową sukienkę ślicznie wydatniającą naturalne powaby całéj kibici; na wierzchu głowy, na włosach gęstych, złotem połyskujących, zebranych do góry i zakończonych nad szyją warkoczem, przypięty był biały czepeczek, chłopką zwany, dziwnie wdzięcznie dopełniający całego tego podróżnego stroju, wytwornego w swéj prostocie.

* * *

Przypatrywał się też dziewczęciu nasz młody bohater, połykał ją oczami.—a miał czém bo były duże i czarne jak otchłań; kiedy zaś vis-à-vis jego wycofało główkę z okna dyliżansu,—on ulokował w niém swoją głowę i chciwie, pełnemi piersiami czerpał orzeźwiające powietrze, pojąc się nie tyle może majowemi woniami, jak jéj tchnieniem które nie zdołało jeszcze daléj z wietrzykiem na pokarm kwiatów ulecić. A ona ze swego ciemnego zakątka ukradkiem też na niego spojrzała — i widziała że jest piękny. A kiedy takie jest jéj zdanie, — na cóżby się zdały uwagi niżéj podpisanego?—Kobiety zresztą już dawno zawyrokowały, że my mężczyźni na naszéj piękności się nie znamy. Poddajmy się temu wyrokowi, zrzeczmy się téj kompetencyi, — pozostawiając sobie inną.... na tém ustępstwie zyskujemy podwójnie. To naturalnie nie uwalnia opowiadającego tę przygodę od nadmienienia że bohater jéj był brunetem o śniadéj kościstéj twarzy typu cygańskiego że jak wszyscy bruneci w gorącéj wodzie był kąpany, i że nieraz kilka kubłów zimnéj, zbawiennie by podziałało na jego niespokojną naturę. W chwili naprzykład rozpoczęcia powieści kręcił się on na swojém siedzeniu, podskakiwał, wychylał się do połowy przez okno, potem nagłym sprężynowym ruchem wciskał się cały w kąt karety, wszystko ku wielkiemu zgorszeniu mamy któréj oczy groźnie błyskały z głębi zapadniętych orbit.

* * *

Biednaż bo ta mama! — los zawziął się na nią wyraźnie. Od saméj Warszawy przepędziła z córką czas w milczącem rodzicielskiem sam-na sam, błogosławiąc chudość kawalerskich kieszeni, która zmusiła podróżnych rodzaju męzkiego do zawindowania się na demokratyczne miejsca koło konduktora,—kiedy nagle nad wieczorem, nie wiedzieć jakiém prawem, panowie ci na ostatniéj stacyi bez ceremonii przesiedli się do środka dyliżansu. Trudno opisać zamięszanie jakie powstało w ciasnéj arce pocztowéj. Czworo podróżnych długo nie mogli się usadowić dzięki mamie, która dla swéj córki taką pragnęła obmyśleć pozycyę, aby jéj nie ulokować ani obok, ani naprzeciwko mężczyzny. Odbywało się tak jakiś czas *chassez croisez* na czterech miejscach karety, aż przerwał je flegmatyczną uwagą kolega naszego bohatera.

— Pozwoli pani zapewnić się, że kombinacye z liczby czterech są nader ograniczone i że sąsiedztwo lub vis-à-vis jednego z nas jest złem nieuniknioném.

— Jesteś pan niegrzeczny—odparła gniewnie mama i ubliżasz pan wdowie i sierocie.... dodała z niezmierną powagą prostując się w postawie stojącéj, bez względu na to że zęby grzebienia wpijały jéj się w głowę.

— Jestem proszę pani prawnikiem, a zatém z natury rzeczy obrońcą wdowy i sieroty, i doprawdy nie pojmuje jak mogłem skrzywdzić te godne wszelkiego szacunku istoty, zwracając uwagę na pewne fatalności jazdy dyliżansowéj opartéj na téj moralno-ekonomicznéj zasadzie: że w publicznym dyliżansie wolno jest na czterech siedzeniach, siedzieć aż czterem osobom.

Mama cisnęła na interlokutora piorunującém spojrzeniem, i stanowczem zajęciem swego miej-

(*Dokończenie w dodatku.*)

Do niniejszego Numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 17-go.

sca dała hasło do ogólnego usadowienia się do podróży. Sama usiadła przy córce, która dostała się pod strzały oczów bruneta; flegmatyczny zaś towarzysz tego ostatniego jął się przypatrywać urażonéj wdowie.

* * *

A wzrok jego był tak spokojnie natarczywy, a chuda postać tak impertynencko niezdarna, nogi tak nieskończenie długie, że mama, mimo wszystkich męczarni na jakie ją wystawiało to losowe spotkanie się takich dwóch długości, winszowała sobie w duchu że córkę umieściła na przeciwko bruneta. Ten przynajmniéj kurczył się dyskretnie i ograniczał się na milczącéj adoracyi vis-à-vis. Jakiś czas między czworgiem podróżnych panowało milczenie, i mama zaczęła przypisywać tę błogą ciszę swojéj poważnéj interwencyi, kiedy młody brunet niespodzianie, bez przygotowania rzucił zapytanie kierując je wyraźnie do swéj młodéj towarzyszki.

— Panie daleko jadą?

Mama zadrżała na ten początek rozmowy któréj nie była w stanie przeszkodzić, i całą potęgą swojego wzroku probowała zmiażdżyć zuchwałego młodzieńca.

— O daleko, bardzo daleko, bo mamy jeszcze trzy dni i trzy noce drogi, odpowiedziała czystym srebrnym głosikiem córka.

— To my chwała Bogu, jutro już staniemy na miejscu, wtrącił młody człowiek z długiemi nogami; będzie można przynajmniéj wyprostować powyginane w czworo kości.

— Bo też nie wiem dla czego panowie opuścili nierównie dogodniejsze miejsca na górze, gdzie można używać wszelkiéj swobody, wyrzekła z kwaśną miną mama.

— Nawet przeziębnięcia na wskróś, odparł zagadnięty. Niesądziłem aby łaskawa pani z taką obojętnością mogła pomyśleć o tém że nocny chłód mógłby zwarzyć dwa tak obiecujące kwiatki... Przepraszam panią to moje nogi, zakończył probując inaczéj się ulokować.

Druga para podróżnych uśmiechnęła się mimowoli.

— Panią widocznie nie przestraszają niewygody długiéj drogi zapytał znów brunet.

— O nie... bynajmniéj odpowiedziało dziewcze. Wpatrując się w sine mgły, które zdają się ciągle ustępować, a ciągle zakrywają mi nowe krajobrazy, doznaję dziwnego uczucia. Pragnęłabym wiedzieć co tam jest za tym lasem co czernieje w dali, jakby to był cel podróży; przybywszy tam nie mogę się oprzeć chęci zobaczenia tego co kryje góra, po któréj droga wstęgą się wije. I tak zawsze rzeczywistość nie odpowiada obrazom mojéj fantazyi; dla tego też zdaje mi się żebym jechała, jechała ciągle, bez odpoczynku goniąc za nieznanym krajobrazem.

— To tak jak podróż przez życie... rozpoczął brunet.

— Za laskiem piasek a za piaskiem lasek, bąknął na pół senie jego towarzysz opierając głowę o poduszki karety i przymykając oczy.

Brunet niecierpliwie poruszył się na swojem miejscu, a mama cała zmieniwszy się w słuch z niespokojnością śledziła za dalszą rozmową.

— Niech pani raczy przebaczyć memu koledze, to dziwak i fantasta,—ale najlepsza, najzacniejsza dusza, rzekł zwracając się do swéj towarzyszki która z pobłażliwym uśmiechem spojrzała na tę pochyloną głowę obijającą obie ściany dyliżansu przy każdem jego silniejszem wstrząśnieniu.

— Mówiliśmy więc że życie podobne jest do téj naszéj podróży. To zaczem gonimy ustępuje przed nami ciągle... Dla pani jakże to długo potrwa?

— Wszak panu mówiłam, odparło dziewczę... że trzy dni i trzy noce... a potem...

— A potem, spytał młodzieniec, czy pani u kresu znajdzie to do czego pani dąży?

— O! wierzę w to tak silnie jak w jutrzejszy wschód słońca. Znajdę mój śliczny szpaler z odwiecznych lip, którym dojadę do kochanego Białego Dworu. Przywita mnie na progu poczciwem skomleniem kundys a w ogrodzie stęsknione gołębie. W altanie nad wodą znajdę kamienny stół okrągły i książkę przyjaciołkę. W salonie odezwie się do mnie fortepian starowina, a na folwarku bocian poważnie na mój widok zaklekocze. Widzisz więc pan że znajdę wszystko, wszystko co mi do szczęścia potrzebne.

— I niczego pani brakować nie będzie, za niczem pani nie zatęskni?

— Potrafię być szczęśliwą, odrzekło dziewczę dyplomatycznie wymijając odpowiedź.

— Jakże pani zazdroszczę! wyrzekł brunet z nieudanym smutkiem w głosie.

— Mnie? zaśmiało się dziewczę!... a to czego?... kreśląc obraz mego domowego szczęścia sądziłam że w pewnym stopniu kreślę go dla pana...

— Jakto pani, zawołał z radością młodzieniec...

Twarz dziewczęcia oblała się szkarłatem. Młoda podróżna poznała że ją źle zrozumiano i spieszyła z naprawieniem błędu.

— Rozkosze domowego ogniska wszystkie do siebie podobne... Pan zapewne ma dom, rodzinę do któréj dążysz równie jak ja, i równie jak ja zapomnisz o fantasmogoryach podróży dla jéj istotnego celu... dla szczęścia.

Zrozpaczona mama coraz niespokojniéj zachowywała się na swojem siedzeniu. Ton rozmowy dwojga młodych zatrważał ją w najwyższym stopniu i już chciała wystąpić z groźnem napomnieniem dla lekkomyślnéj pary, kiedy ją wyręczył w interwencyi pocztylion który rzucił wieczornym echom metaliczne tony jakiegoś zawadyackiego krakowiaka.

Wyjrzała mama tryumfująco oknem, z radością witając stacyę, a brunet błogosławiąc trąbkę nachylił się tymczasem niby dla rzucenia okiem na drogę i rzekł jakby był dłużny odpowiedź.

— O wszystkiem, o wszystkiem mogę zapomnieć prócz tego żem drogę do szczęścia choć tak krótko z panią razem odbywał.

Dziewczę szybkiem ruchem wcisnęło się wgłąb karety, pocztylion skończył swoje trele, a towarzysz bruneta jakby nagle ze snu zbudzony zaintonował tubalnym głosem.

— Niewierz mężczyźnie jako...,

Niedokończywszy zdania przetarł oczy, rozejrzał się ze zdziwieniem po dyliżansie, a potem z ciężkim śmiechem dodał.

— Przepraszam państwa... takie mi się dziwne rzeczy śniły.

Brunet gniewnie brwi namarszczył, dziewczęciu serce jakoś się ścisnęło na to trywialne rozproszenie jéj rojeń, a mama skwapliwie otwierała drzwiczki karety która przy odgłosie trzaskań z bicza zajeżdżała przed stacyę. Wszyscy podróżni wysiedli...

* * *

— Tyś grał komedyę Władysławie, mówił brunet do swego towarzysza przechadzając się z nim po szosie nieopodal od stacyi, w oczekiwaniu na przeprząg koni. Ty nie spałeś... a twoje trywialne piosneczki....

— W moich trywialnych piosneczkach, przerwał z lekką ironią Władysław, więcéj jest sensu, jak w twoich ognistych dytyrambach. — Tak jest ja nie spałem, i spać nie będę, bo niechcę dopuścić, abyś zrobił głupstwo.

— Nie wiem doprawdy zkąd ci się wziął taki puryzm rzekł z niechęcią, a nawet z odcieniem gniewu brunet.

— Nie irytuj się tak mój tkliwy Zygmuncie, a posłuchaj mię lepiéj. Głupstwem w tym razie nazywam postępek, w skutkach nie uwłaczający może honorowi, ale nie logiczny dla tego, że zamąci spokój serca dobréj jakiéjś, choć sentymentalnéj, dzieweczyny. Wejdź w siebie i zapytaj się sumiennie, do czego prowadzi ten podróżny romans?

— Może do ołtarza, rzekł na pół seryo, na pół żartem Zygmunt. Cóż w tém tak bardzo niepodobnego; ja mam majątek, ona także widać nie biedna...

— Wiesz co, mocno żałuję że nie jedziemy z jakim księdzem, — wziąłbyś ślub w dyliżansie i pojechałbyś przez szpaler lipowy do Białego Dworu, dotrzymywać towarzystwa kulawemu kundytowi, bocianowi na folwarku i gruchającym z tęsknoty gołębiom. — Wszystkie nawet warunki są potemu. Znacie się już od dwóch godzin....

— Daj mi już pokój, proszę ciebie, przerwał niecierpliwiąc się Zygmunt, i wypuść mię ze swojéj opieki.

— Nigdy jéj nie rozciągałem nad tobą, odparł z zimną krwią Władysław wzruszając ramionami, lecz nad temi wyjątkowemi istotami, które sobie za żony wybierałeś. Gdyby prawodawstwo tolerowało polygamię, miałbyś ich już ze dwadzieścia kilka, a tak przy pomocy kodeksu Napoleona i mojéj, te biedne *ofiary* mają sobie każda po jednym mężu, ale prawdziwym; ty zaś ani się zastrzeliłeś ani utopiłeś i żyć będziesz w zdrowiu i spokojności, dopóki cię los nie obdarzy także żoną jedną, również prawdziwą, co w twoim własnym interesie niechaj najpóźniéj nastąpi.

— Nudzisz mię twoją gadaniną!...

— Bardzo być może, — ale uprzedzam cię że w tym razie na gadaninie się nie skończy.

— Jakto, groźby? zapytał już ze śmiechem Zygmunt.

— Nie inaczéj, odparł Władysław — groźby. Zgubię cię w pojęciu mamy i córki.

— A to jakim sposobem?

— To moja tajemnica.

— Zobaczymy!...

— Zobaczymy!

I mimo tego wypowiedzenia wojny, obaj koledzy prowadząc się pod rękę, podeszli do zaprzężonéj już karety.

* * *

Matka i córka siedziały już w dyliżansie, ale tak w rozlokowaniu jak i w fizyognomiach podróżniczek widoczne nastąpiły zmiany. Dziewczę siedziało na dawném miejscu matki, która znów usadowiła się naprzeciwko siedzenia zajmowanego pierwéj przez Zygmunta. Owa taktyka macierzyńska na nic się jednak nie przydała, bo brunet jednym rzutem oka objął plan kampanii, i zanim towarzysz jego zdołał się zoryentować, usiadł na poprzedniém jego miejscu. Władysław lekko się uśmiechnął i zajął pozostały kącik.

Manewr ten dokonany w milczeniu jeszcze bardziéj rozsrożył mamę, która i tak przyszła

z twarzą groźną jak chmura piorunowa. Na ślicznéj twarzyczce dzieweczki malowała się jakaś mieszanina smutku i niepokoju. Oczki miała lekko zaczerwienione, jakby od niedawnego płaczu.

Gdy już wszyscy gotowi byli do drogi, mama zapytała niby od niechcenia.

— Anusiu... może ci wiać będzie z téj strony — przesiądźmy się.

— Bardzo mi dobrze mamo, odrzekło stanowczo dziewczę, czując, ile było niedelikatności w propozycyi matki... a może dla innych jeszcze powodów.

Pocztylion dał na trąbce hasło do odjazdu, i kareta już miała ruszyć, kiedy ze stacyi nadbiegł konduktor z maleńkim niedopałkiem świecy stearynowéj, i umieścił takowy w latarni, któréj przeznaczeniem był oświetlenie wnętrza dyliżansu.

— Jakto panie konduktorze, spytała na seryo zatrwożona mama, taki kawałek świeczki ma na całą noc wystarczyć.

— Oho! proszę pani odparł konduktor, — noc majowa krótka, — jeszcze z téj świecy schowam coś do kieszeni.

Mama z powątpiewaniem wstrząsnęła głową, konduktor drzwiczki zatrzasnął, rozległo się silne trzaśnięcie z bicza, potém charakterystyczne gwiźnięcie dodające odwagi koniom, które dobrym kłusem ruszyły nareszcie z miejsca.

* *

Ciężkie, przykre milczenie zapanowało między podróżnémi. Zdawałoby się, że jakiś dziwny niepokój zakołatał do wszystkich piersi. Mamie przypadła w udziale najmozolniejsza praca; musiała ona obserwować zaciśniętą w kąt dyliżansu Anusię, — bruneta zasępionego i podejrzanie jakoś wychylającego się przez okno, i nareszcie niefortunną świeczkę, która dopalała się w blaszanym lichtarzyku z zatrważającą szybkością. Jeden tylko Władysław z zupełną obojętnością starał się jak najdogodniéj lokować swoje długie nogi. Noc była ciepła, księżycowa, ale nie należała do tych przejrzysto-świetlanych, które na około spokój i błogość jakąś rozlewają. Tłumy chmur pędzonych w tym samym co nasi podróżni kierunku, zasłaniały co chwila księżyc, pogrążając jadących w zupełnéj ciemności, którą rozświecała w takim razie tylko świeczka smutnie w latarni migająca. Fantastyczna była i godna Rembrandtowskiego pędzla ta gra 2-ch świateł, ta walka niebieskawego drżącego promienia księżyca rozlewającego nieziemskie blaski, z żółtawym, niespokojnym płomykiem latarni, który rozkładał trywialny światłocień na twarze czworga pasażerów. Ta ciągła zmiana barw i cieni nadawała ich rysom jakąś tajemniczą, łudzącą ruchliwość wytwarzając prawdziwie Hoffmanowskie fizygnomie. Nad łąkami w oddali rozściełały się białe mgły, niby powiewne fałdy mar przejrzystych które nocną porą wyprawiały na około napowietrzne jakieś pląsy. Konie szły wolno, miarowo, prawie stępo, nie popędzane przez pocztyliona, który od czasu do czasu podskoczywszy wśród drzemki na koźle, cmoknął ustami przez przyzwyczajenie, i ociężałą ręką, dla formy bicz podnosił do góry.

* *

Mamie snać straszliwie ciążyło to milczenie. Spać nie mogła, czy też nie chciała, z rozpaczy więc i spostrzegłszy że Anusia na dobre w kątku drzemać zaczyna, zwróciła się z uprzejmym uśmiechem do Władysława...

— Cóż to się panu tak dziwnego śniło, kiedyśmy do stacyi dojeżdżali, zapytała z cicha, aby nieobudzić córki.

— A to nic proszę pani, odparł ziewając szeroko młodzieniec, to zwykły wpływ miejscowości na wyobraźnię.

— Czy okolica przez którą przejeżdżamy słynna jest z jakiego wypadku, zagadnęła powtórnie mama, oglądając się trwożnie naokoło siebie.

— A tak istotnie, wydarzyło się tu przed laty coś rozgłośnego.

— Może zbójcy, szepnęła zamierającym głosem mama.

— Gorzéj proszę pani, bo porwanie córki z pod oka matki przez młodego uwodziciela, jadącego z niemi razem w dyliżansie.

— Boże czy podobna! jęknęła mama załamując z rozpaczą ręce.

— Wszystko wprawdzie dobrze się skończyło, bo młodzi się pobrali, ale stało się to wbrew woli matki, która córkę chciała wydać za starca milionera.

— Co też ty za bajki opowiadasz pani, Władysławie, wtrącił Zygmunt wzruszając ramionami.

Głos bruneta sprawił na mamie wrażenie iskry elektrycznéj. Podskoczyła na siedzeniu i z wyrazem nienawiści spojrzała na młodego człowieka, którego czarne palące oczy zdawały się w głębiach swoich kryć tysiące zdradnych zamiarów.

— Mój kochany odparł zimno Władysław, u ciebie wszystko jest bajką, czego sam nie widziałeś. Spytaj choćby tego pocztyliona co nas wiezie, a dowiesz się o wszystkiem z najdrobniejszemi szczegółami. Miałem właśnie na myśli te wypadki, które z całą dokładnością odtwarzały się w mojéj wyobraźni na widok téj miejscowości, kiedy sen mię zmorzył... i zdawało mi się że jadę razem z tą, która miała zostać porwaną, i ostrzegam ją przed grożącém niebezpieczeństwem, nucąc starą ale pełną treści piosneczkę:

— Nie wiesz mężczyznie jako...

— Czemuż pan nie kończy?

— Nie pozwala mi uszanowanie dla pani i po trochu pobłażliwość dla płci, do któréj się liczę. Ale oto niedługo już będziemy na miejscu.

— Jakto, na stacyi? spytała z radością mama.

— Nie pani, tam gdzie się dramat odegrał.

W téj chwili pocztylion gwiznął silniéj na konie. Nieszczęśliwa mama zadrżała i zbladła. Na domiar trwogi świeca wyraźnie dopalać się zaczęła. Knotek pochylił się na resztkę roztopionéj stearyny, i rozpoczęło się owe smutne mruganie płomienia, zwiastujące niedalekie już panowanie ciemności.

Podróżni zbliżali się w istocie do gęstego sosnowego lasu. Na około ściemniało się coraz bardziéj. Czarne chmury bałwaniąc się szalonym wirem zagrażały bladému księżycowi. Chwilę tak trwało pewne wahanie między światłem i ciemnością; nareszcie jak gdyby wszystko na raz się sprzysięgło, księżyc skrył się za ponurą oponę, — dyliżans wjechał do lasu, a świeczka w latarni rzuciwszy ostatni żywszy odblysk — zgasła. Zupełna ciemność opasała jadących czarnym nieprzebytym murem.

— Otóż jesteśmy, szepnął tajemniczo Władysław. Nieszczęśliwa mama, instynktowym ruchem przytuliła się do swego dziecka.

— Masz za wdowę i sierotę,—pomyślał w duchu Władysław.

— Jakto dobrze, że to anielskie dziewczę nie słyszy banaluków tego niegodziwca, rzekł do siebie Zygmunt.

I cisza na nowo zapanowała w dyliżansie.

* *

Konie szły wolno nie troszcząc się bynajmniéj o trwogę mamy, która przekładałaby rozmowę nawet nienawistnego bruneta, nad to przerażające milczenie. Z początku nic na około i przed sobą nie widziała,— ale przyzwyczaiwszy się do ciemności spostrzegła dwie palące źrenice które ani na chwilę nie zmieniały kierunku, a utkwione były wyraźnie w ten kącik w którym smacznie spała Anusia. Źrenice te pozostawały nieruchome — ale nagle zaczęły się zbliżać, zbliżać ku śpiącemu dziewczęciu; i zdawało się mamie, że rosną coraz większe, większe, aż nareszcie przybrały w rozmarzonéj wyobraźni wymiary tak straszne, że mama chwyciła się rozpaczliwéj ostateczności i wydobywszy z kieszeni pudełeczko z zapałkami stoczkowemi, zapaliła jednę oświecając nagle wnętrze dyliżansu.

Argusowym jéj oczom przedstawił się widok najprzykładniejszy. W trzech kątach karety trzy postaci ułożone do snu w najrozmaitszych pozycyach. Anusia podłożyła rączkę pod głowę i tak śniła z uśmiechem na ustach; Zygmunt marzył niespokojnie założywszy ręce na piersiach i spuściwszy głowę; Władysław spał snem sprawiedliwego z wyciągniętemi nogami i obwisłemi rękami; jakiś gapiowaty spokój rozsiadł się na jego fizyognomii.

Zapałka zgasła — ciemność zapadła na nowo; mama wyjrzała za okno—las ani trochę nie rzedniał, wszędzie ponuro tajemniczo, aż dreszcz przechodzi. O spaniu ani pomyślała, tak żywo odtwarzały się w jéj wyobraźni straszne sceny dramatu porwania. Na domiar męczarni, otwarte oczy Zygmunta znów zaczęły jéj urągać. Tym razem postanowiła podejść zdrajcę,— i zapaliła drugą zapałkę tak szybko i niespodzianie, iż wyraźnie spostrzegła jak brunet zamykał oczy pragnąc uśpić jéj czujności.

— Pan nie możesz spać, zapytała cierpko przybliżając zapałkę do twarzy Zygmunta.

— Istotnie, pani mię w téj chwili obudziła odparł brunet nie tracąc przytomności.

— „Ach jakże szczęśliwy ten człowiek
„Który ma czyste sumienie
„Żadne zbrodni przypomnienie
„Nie spędza mu snu z powiek.“

Wyrecytował niewyraźnie Władysław poprawiając się w kącie. Przytem westchnął tak potężnie, że zdmuchnął zapałkę—oskarżycielkę.

* *

Czterowiersz długonogiego równie skutecznie podziałał jak wszystkie jego cytaty. Mama widziała w nim tak wyraźne ostrzeżenie, że w pośród ciszy panującéj w karecie można było słyszeć jak biedne jéj serce z całéj siły biło na trwogę, jak usta szeptały modlitwę do dnia. Ale ziemia której ruchu, miliony serc pulsujących rozpaczą, ani na włos nie przyspieszą, obracała się po swojemu. Naokoło ciemno było i czarno, na świtanie wcale się jeszcze nie miało. A konie wlekły się jakby nigdy do stacyi dojść nie mogły; a pocztyljon kiwał się na koźle, i konduktor chrapał w swojéj komórce.

— Jak ci ludzie niczego się nie boją pomyślała sobie mama i.... zapaliła trzecią zapałkę.

Odtąd w dyliżansie co pięć minut słychać było charakterystyczne potarcie masy zapalnéj o ostre pudełko, i słabe światło stoczka wywoływało z ciemności niepewne jakieś kontury i kształty. Doświadczenia te powtarzały się tak jakiś czas w coraz dłuższych przerwach; może spokój wracał do duszy nieszczęśliwéj mamy, może też znużenie zwykły swój wpływ wywierało. To ostatnie przypuszczenie musiało być prawdopodobniejszém, gdyż ostatnia zapałka zapaliła się w ręku śpiącéj już matrony, której palce byłyby może popamiętały, iż pełniły rolę lichtarza, gdyby nie usłużność bruneta, który nie powodując się

mściwością, miłosiernie w sam czas zagasił zapałkę.

* * *

Bo Zygmunt niespał, i dobrze na tém wyszedł. Miał przed sobą uroczy widok którym mógł sycić oczy do woli. Sen przeniósł już, jak się zdawało, wszystkich podróżnych w inne światy, i jak gdyby był w porozumieniu z księżycem przywołał go w pomoc zakochanemu. Powoli, lękliwy promyk zaczął się przedzierać przez gęstą płatanin ę drzew rysując fantastyczne arabeski po wnętrzu dyliżansu, a i las rzedniał widocznie ukazując w dali białawą smugę światła. Stopniowo rozsunęły się i chmury i cały snop drżących promieni wcisnął się do okna karety oblewając uśpioną Anusię jasnością wśród którój cała postać dziewczęcia rysowała się jak nieziemskie zjawisko. Anusia spała z główką lekko w tył przechyloną, z ustami otwartemi w rozkosznym półuśmiechu z rączkami wdzięcznie na kolanach skrzyżowanemi. Z dawnéj chmurki nie pozostało nic na téj dziecinnéj twarzyczce jaśniejącéj świętym, niczem jeszcze nie zakłóconym spokojem niewinności.

* * *

Zygmunt długo, długo przyglądał się dziewczęciu i niewiadomo dla czego, czuł jak mu się serce ściskało niewytłomaczoną tęsknotą. Ironiczne uwagi Władysława teraz dopiero z całą dobitnością stanęły mu na myśli, żal mu było tych chwilowych rozkosznych rojeń — a widział nieubłaganą konieczność oderwania się od nich zapewne na zawsze. Jeszcze jednym pożegnalnym rzutem oka objął wszystkie powaby i doskonałości śpiącego dziewczęcia, — potem, jakby próbując czy zdoła z całą dokładnością odtworzyć w wyobraźni te idealne kontury, przymknął oczy i utonął w półśnie, półjawie w tym rozkosznym stanie który jest pasem granicznym między dwoma światami.

* * *

Zwolna linie i zarysy rzeczywistości zaglądającéj jeszcze przez pół przymrużone oczy Zygmunta, zaczęły się zacierać rozpływając we mgle jakiejś przezroczystéj; w mózgu uczuł nasz bohater to kołysanie się myśli poprzedzające zupełne wypłynięcie naszego *ja* na przestworza pozaświatowe; jedna tylko myśl stała słaniała się uparcie przed wzrokiem jego duszy wcielając w najdziwaczniejsze i najpowabniejsze obrazy. Widział się przy boku Anusi. Gdzie?— sam niewiedział. Byłto niby jakiś pokój trochę podobny do jego gabinetu u rodziców, a jednak inny bo znajdował się w Białym Dworze Anusi, a ściany jego pikowane były safianem, niby wnętrze dyliżansu. Przy boku miał Zygmunt dziewczę które oparło główkę z całém nieograniczonem zaufaniem miłości, na jego ramieniu; czuł na swéj twarzy lekki i swobodny oddech ukochanéj; czuł obok siebie spokojne bicie jéj serduszka, był nad wszelki wyraz szczęśliwym. Nagle Anusia zatopiła w nim dwie płonące miłością źrenice, i szybkim ruchem zbliżywszy głowę do jego twarzy, wycisnęła mu na ustach gorący, namiętny pocałunek.

* * *

W téj chwili rozległ się w głębi dyliżansu krzyk kobiecy. Przebudzeni podróżni z przestrachem malującym się na wszystkich twarzach rozglądali się po sobie, bezwiednym ruchem przecierając zaspane oczy. Cztery zapytania unissono sformułowały się w tych wyrazach:

— Co się tu stało?

— Panie, to nieszlachetnie, to niegodnie, wyrzekła mama drżąca z oburzenia, zwracając się wprost do Zygmunta.

— Ależ ja nie pojmuję co znaczy.... wyjąkał ze zdziwieniem ten ostatni.

— Wyraźnie słyszałam odgłos pocałunku. Czy pan będzie miał tyle śmiałości i wyprze się tego niecnego postępku.

— Kto kogo pocałował? zapytał naiwnie Władysław wyłamując sobie palce w stawach.

Zygmunt osłupiał i przez krótką chwilę nie mógł się zdobyć ani na jeden wyraz odpowiedzi. Nie było wątpliwości, że stało się coś nadzwyczajnego. Miałże przyznać, że czuł jeszcze rozkosz tego pocałunku palącego — miałże z kolei zapytać, do jakiego świata, snu czy rzeczywistości należało to widziadło, które mu na ustach pozostawiło tak ogniste wspomnienie?

Mimo woli zwrócił oczy na Anusię. Twarz dziewczęcia płonęła gorączkowym rumieńcem wstydu; po licach płynęły dwie duże łzy gniewu, a może żalu. Widząc utkwiony w siebie inkwizytorski wzrok Zygmunta, Anusia dumnie się wyprostowała, przywołała na twarz wyraz prawie pogardliwy i objąwszy wpół matkę, tym wymownym gestem dała do zrozumienia, że nie liczy na żadną inną opiekę.

— Tak młoda, a tak obłudna,— pomyślał sobie z goryczą Zygmunt.

Następnie zwracając się do matki Anusi rzekł z przekonywającą powagą w głosie:

— Widzę, że dziwne i niewytłumaczone jakieś okoliczności zostawiają mię pod zarzutem czynu niezgodnego z zasadami uczciwego człowieka. Usprawiedliwiać się pani nie myślę, wystarcza mi bowiem przeświadczenie o własnéj niewinności; wyrzuty zostawiam tym którzy mają ten pocałunek na sumieniu.

Mówiąc to spojrzał surowo i znacząco na Anusię, która zbladła pod ciosem tego dwuznacznego oskarżenia.

— Tymczasem, kończył Zygmunt, najlepiéj podobno będzie jeśli na pozostałą jeszcze drogę, oszczędzimy sobie wspólnie przykrości dalszych podejrzeń i domysłów.

Przy tych słowach sięgnął do klamki drzwiczek pragnąc widocznie opuścić wnętrze karety; ale tu znów pocztylion jak *deus ex machina* przyczynił się do rozwiązania téj niespodzianéj katastrofy rozbudziwszy drzemiące echa donośnym nawoływaniem trąbki. Wtedy podróżni przekonali się o trzech rzeczach które przy wytężonéj w innym kierunku uwadze uszły ich baczności, mianowicie że już dniało, że dyliżans wyjechał z lasu i że za chwilę stacya pocztowa otworzy im swoje gościnne podwoje.

* * *

Na boku, niedaleko głównego budynku stacyi, stał lekki wolancik zaprzężony w dwa rosłe dobrze utrzymane koniki; na koźle siedział siwy z sumiastemi wąsami woźnica, który spostrzegłszy dojeżdżający dyliżans, rzeźko zeskoczył ze swego miejsca i pobiegł na spotkanie Zygmunta, swego panicza. Ale młodzieniec powitał go gestem roztargnionym i ujawszy pod rękę swego towarzysza, odprowadził go kilkanaście kroków ku lasowi.

— Słuchaj no Władysławie rzekł do niego z rozdrażnieniem, — jestem pewny, że to ty nawarzyłeś tego piwa. Czy wiesz co o tym pocałunku?

— Naturalnie że wiem, bo był tak głośny, że go pewno słyszeli pocztylioni na poprzedniéj stacyi. Ale przyznam ci się że nie przypuszczałem, że to się tak skończy. Mnie potrzeba było tylko skierować podejrzenie na ciebie... chciałem cię zgubić...

— Jakto nie rozumiem....

— Wszakże to ty zostałeś pocałowany...

— Ja, ja, powtórzył z niechęcią i smutkiem Zygmunt i pewny jestem....

— Nie bądź pewny niczego, ale chodź zemną: żal mi téj wdowy i sieroty!

* * *

Wszedłszy do sali dwaj młodzi ludzie nie zastali nikogo, ale z zadrzwi sąsiedniego pokoju dolatywały głosy kobiece. Jeden z nich cichy szeptał pośród łkań niezrozumiałe jakieś wyrazy, drugi ostry, surowy, prawił jak z kazalnicy.

— Wiem żeś spała, mówił ten głos grzmiący, i nic nie byłaś winna w chwili kiedy spełnione zostało świętokradztwo. Ale przedtém, kto z tym wartogłowem uprzejmie prowadził rozmowę, kto się zapuszczał w poetyczne porównania, w kwieciste obrazy?— Wszakże on sam był tyle bezczelnym, że wyrzuty pozostawił tym którzy ten pocałunek mają na sumieniu.

Silniejszy płacz był jedyną odpowiedzią na te przemowę.

— W sam czas interweniujemy, wtrącił Władysław i z niecierpliwością do drzwi zapukał, a otrzymawszy pozwolenie wejścia stanął wraz z towarzyszem w progu pokoju zajmowanego przez matkę i córkę.

* * *

— Panowie jeszcze tu? spytała matka głosem drżącym od gniewu.

— Racz pani darować odrzekł poważnie Władysław, ale znalazł się winowajca.

— Zdaje mi się, że daleko nie trzeba go było szukać,— odparła z ironią matka.

— W istocie,— bo tym winowajcą jestem ja.

— Pan? zapytała matka ze zdziwieniem.

— Pan? zawołała zrywając się z sofy Anusia, i od stóp do głów gniewnie mierząc delikwenta.

Któż kiedy rozwikła zagadki kobiecego serca? W tém jednem spojrzeniu Anusi zawierał się cały traktat moralności i filozofii... Zdawałoby się prawie, że teraz dopiero w sercu dziewczęcia rodzi się żal prawdziwy, ale do... niewinnego.

— Zapewne pan zechcesz nam dać rozwiązanie téj szarady, rzekła znów matka, inaczéj będę musiała przypuścić, że do nieszlachetnego czynu, chcecie jeszcze dołączyć szyderstwo. Zresztą dodała po chwili— osoby są tu niczém, fakt stanowi wszystko,— a ktokolwiek go się dopuścił, zostawia po sobie w staréj głowie i w młodem sercu, bardzo niepochlebne wspomnienia.

— Powtarzam pani, że to ja.... nalegał znów Władysław.

— Czyż mam przebaczyć dla tego *że to pan*, zapytała z niecierpliwością wdowa.

— Nie przebaczysz pani nawet wtedy, gdy powiem kogo pocałowałem?

— Panie, przerwała matka, ten żart trwa zadługo.

— Nawet kiedy powiem, że złożyłem głośny pocałunek na ustach mego przyjaciela Zygmunta?

Srebrny śmiech Anusi, niby promyk słońca, rozweselił ponurą atmosferę ciężącą nad czworgiem podróżnych.

Śmiech ten miał w sobie coś tak zaraźliwego, że wkrótce w małym pokoiku stacyi pocztowéj zabrzmiało w kwartecie szalone *scherzo*, w którém dla mamy reprezentującéj poważną wiolonczellę, niepoślednia przypadła partya.

— O! mój sen, mój sen zakończył w minorze Zygmunt.

— Czy panu się co śniło, spytała z figlarną i przebiegłą minką Anusia.

— Śniło mi się, odparł z uśmiechem Zygmunt, że nam pani podała rękę do zgody.

— Widzi pani, że nie tylko ja sny miewam dodał Władysław.

— Takie rzeczy wyśnić się mogą, rzekła Anusia podając dwóm przyjaciołom obie drobniutkie rączki.

— Tylko takie? zapytał Zygmunt patrząc wyraziście w twarz dziewczęcia.

— Inne śnić się nie powinny, odparła z lekkiem westchnieniem Anusia.

* * *

— Wszystko to dobrze, zabrała głos zupełnie zaspokojona matka Anusi, zwracając się do Władysława,— ale wyjaśnij mi pan teraz cel téj mistyfikacyi.

Zygmunt spojrzał wyczekująco i niespokojnie na swego towarzysza, nie wiedząc coby mógł przytoczyć na usprawiedliwienie.

— Celem moim, odparł poważnie Władysław była zemsta.

— I na kimże to tę zemstę pragnąłeś pan wywrzeć, spytała Anusia, pokazując w czarownym uśmiechu rząd drobniutkich ząbków.

— Nie na pani,— odparł z ukłonem Władysław.— Pani nam ufała, wszak prawda?

— Nieograniczenie, odpowiedziało dziewczę, rzucając z ukosa spojrzenie na Zygmunta.

— Więc to mnie wybrałeś pan na ofiarę zagadnęła matka.

— Dla czegóż traktowałaś nas pani jak ludożerców?

— Bo mam to jedyne dziecię.... a młodzież gorszą jest od ludożerców....

— Ta szczególniéj która trudni się porywaniem niewiast z dyliżansów.

— Oj ta pańska historyjka!... ile mię kosztowała dreszczów trwogi, bicia serca...

— I zapałek.... wtrącił śmiejąc się Władysław.

— Jakto więc pan nie spałeś.

— Wszak mówiłem,...nie wierz mężczyźnie....

— Konie gotowe zawołał wchodząc konduktor.

— „Czas do domu czas" zaintonował Władysław całując rękę matki Anusi.

— Kolega pański, wtrąciło z lekką ironią dziewczę żegnając się z Zygmuntem, przez dyskrecyę tylko niedomawia drugiego wiersza „zabawili nas."

— Pani, wyrzekł ciszéj Zygmunt czy takie będzie nasze pożegnanie?

— Może pan przekładasz mój waryant: „żartowali z nas."

— Panno Anno!...

Trąbka naglila podróżnych do odjazdu.

— Bądź pan zdrów rzekła z pewnem wzruszeniem w głosie Anusia podając rękę Zygmuntowi... zapomnij pan o śmiesznych, pamiętaj o życzliwych.

— Czy nie wysłuchałaby pani waryantu który ja sobie w duszy dośpiewałem.

— Nie ma już czasu... wszystkim pilno do celu.

— A czy niewolno będzie tego warjantu poddać pod sąd pani w Białym Dworze.

— Jeśli mama nie zlęknie się ludożerców, wymówiła z dźwięcznym śmiechem Anusia i szybko pobiegła ku zaprzężonej karecie.

Po chwili ciężki wehikuł toczył się dalej po drodze bitej,... a Zygmunt ze spuszczoną głową szedł zwolna obok swego towarzysza kierując kroki ku stojącemu na uboczu wolancikowi.

— No przyznaj żem się wywinął gracko, rzekł Władysław.... usprawiedliwiłem, oczyściłem wszystkich.

— A siebie najlepiej.... zrobiłeś z kozła barana...

— Mój kochany to prolog do mej karyery adwokackiej.

Dwaj koledzy w milczeniu siedli na bryczkę, Władysław z rozkoszną miną wyciągnął nogi kryjąc je aż pod kozioł, a Zygmunt ze smutkiem stawiał sobie w duszy pytanie.

— Czyż to być może ażebyśmy się więcej nigdy nie zobaczyli.

* * *

Minął lat dziesiątek od tego zdarzenia, które niżéj podpisany, miałem zaszczyt opowiedzieć cierpliwym czytelnikom, zaręczając za wiarogodność faktów, jako jedna z osób działających. W piękny jesienny dzień jechałem koleją do Warszawy ziewając szeroko z nudów i zasypiając co chwila ze znudzenia. Pamięć moja przez którą w ciągu tego czasu przesunęło się tyle ludzi, wypadków i miejscowości, nic mi nie mówiła że przejeżdżam tym samym traktem na którym kiedyś odegrała się zaimprowizowana scena pocałunku. Byłbym może z karygodną obojętnością spał aż do samej Warszawy, gdyby nie wejście do wagonu na jednej ze stacyi,—damy bardzo jeszcze młodej wraz z małą śliczną dziewczynką. Młoda kobiéta, olśniewająca pięknością zupełnie już rozwiniętego kwiatu, wywoływała mi przed oczy niewyraźne jakieś wspomnienie. Pasowałem się z myślami nie mogąc sobie przypomnieć gdzie i kiedy widziałem moją towarzyszkę podróży, gdy wzrok mój padł na dziecię rozglądające się ciekawie po całym wagonie. W idealnej twarzyczce dziewczynki cudnie okolonej złocistemi lokami, które tej małej istotce nadawały przejrzystość pastelowego portretu, schwyciłem jakiś wyraz dobrze mi znany, służący niejako za żywy komentarz do rysów matki. Pracowałem myślą ale na próżno. Między innemi symptomatami starości, osłabienie pamięci występowało na pierwszy plan. Dałem więc za wygraną przeszłości ale tem żywiej zająłem się teraźniejszością i z całą rozkoszą człowieka namiętnie lubiącego dzieci, a przeznaczonego na wieczną samotność, wpatrywałem się w rysy dziewczynki. Byłbym wiele oddał, gdybym mógł ją popieścić, ucałować, przytulić do siebie. Podniosłem nieśmiało oczy na młodą matkę, która widząc po grze mej fizyognomji co się ze mną działo, lekkim uśmiechem dodała mi odwagi. Wyciągnąłem ręce do dziecka i rzekłem jak mogłem najuprzejmiej.

— Czy lubisz aniołku cukierki?.... chodź do mnie dostaniesz coś dobrego.

Mała spojrzała na mnie z niedowierzaniem wielkiemi błękitnemi oczami,— a potem przytuliła się do matki, która szepnęła jej coś do uszka.

— Czemuż nie chcesz iść do mnie spytałem biorąc ją za rączkę.

Dziewczynka wyrwała mi rączkę, i z gestem i tonem, niepodobnemi do opisania, wymówiła szybko.

— Nie wierz mężczyźnie.... I z cudną filuternością pogroziła paluszkiem na nosku.

— Władziu jak można być tak niegrzeczną, odezwała się młoda kobieta nie mogąc wstrzymać się od śmiechu.

— Dziecko zkąd ty to wiesz, zawołałem wzruszony, kto ciebie nauczył?...

— Ojczulek mnie nauczył... Ojczulek został w Białem Dworze, a my jedziemy po babcię na imieniny. Będzie tort z konfiturami, śliwki węgierki i orzechy z miodem... Na łące będziemy puszczać w górę iskry różowe i zielone.:. Ja pójdę spać dopiero o dziesiątej... Szkoda że kundyś ślepy nie będzie tego wszystkiego widział.

— Więc kundys oślepł...

— Tak proszę pana... on taki stary, stary... starszy odemnie.

— A bocian na folwarku?

— O! już pofrunął bo mu zimno było... ale ojczulek powiedział że znów przyleci.

Jak gdyby pod wpływem jednakowych wspomnień ja i młoda kobieta jednocześnie spojrzeliśmy na siebie.

—Pani mnie nie poznaje,— odezwałem się po chwili,—więc ja się tak zmieniłem.

— Być że to może zawołała Anusia,— pan Władysław—to pan, to pan,?.. powtórzyła jakby oczom swoim niedowierzając. I szczere serdeczne uściśnienie ręki połączyło przeszłość z teraźniejszością.

— Pan do nas nie prawdaż, mówiła patrząc mi w oczy, jak gdyby lękała się odmowy. Dla Zygmunta będzie to szczęście nad wyraz. Nie wątpisz pan że pamiętamy o autorze dyliżansowego epizodu, który w wielkiej części jest autorem naszego szczęścia.

Mówiąc to wzięła na rękę córeczkę posadziła mi ją na kolanach i dodała.

— Temu maleństwu imię Władzi dano na pańską intencyę.

Przycisnąłem do serca jasną główkę dziecięcia i odwróciłem się w drugą stronę, aby ukradkiem otrzeć oczy załzawione... od pyłu przedostającego się przez okno wagonu.

* * *

Cóż więcej wam powiedzieć łaskawi czytelnicy?—Byłem u Zygmunta w Białym Dworze. Jak mię tam przyjęto,—co mię osobiście spotkało, opowiadać nie myślę, jako rzeczy do niniejszej historyi nie należących. Byłbym nawet zamilczał o wszystkiem co się mnie tyczyło gdyby owa podróż koleją nie łączyła się z dalszemi losami znanych wam bohaterów.

W Białym Dworze tedy wszyscy są szczęśliwi. Jestto wiadomość z którą tak rzadko napotkać się można że się z nią skwapliwie dzielę z wami mili czytelnicy, i kończę zarazem moje opowiadanie, z radością urywając je na chwilach promieniejących pogodą, Życie znam dobrze... wiem że los nie oszczędzi zlej doli moim bohaterom... ale do tego czasu ja już zapewne nie będę patrzał ani na łzy ani na uśmiechy ludzkie... więc wam może ktoś zamiłowany nakreśli odwrotną stronę medalu... ja jak dziecko zawsze do jasnej tylko ręce wyciągałem. *Quidam.*

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 14 (26) Февраля 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.